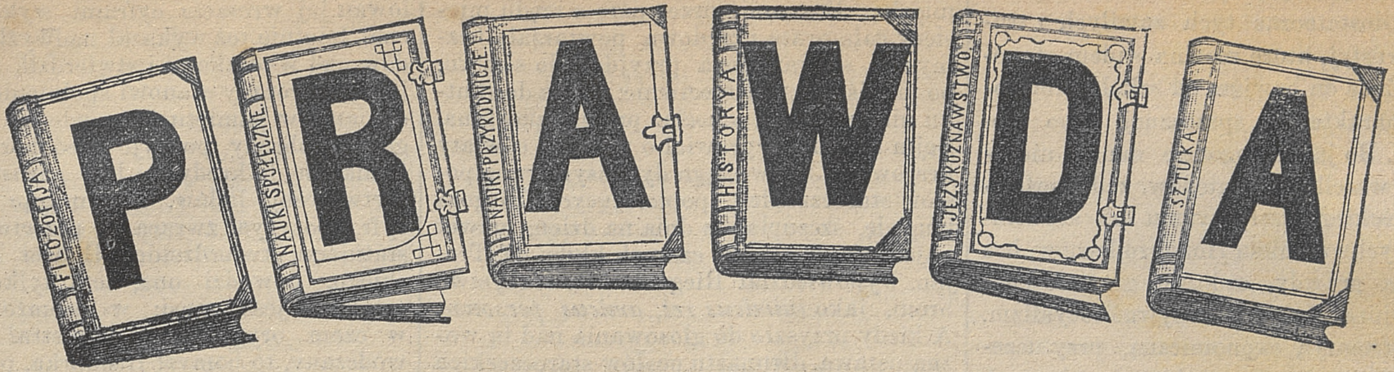
Nr. 50. Warszawa, dnia 13 (1) Grudnia 1890 r. Rok X.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“ (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

POLITYKA WOBEC SZKOŁY.

Jednocześnie na kilku punktach Europy odezwała się potrzeba zmiany dotychczasowego systemu wychowania publicznego i to w jednakim kierunku. Jak wiadomo, w Rosyi zmniejszono nieco naukę języków klasycznych. W Anglii zaczęto również rozmyślać nad reformą. Na konferencyi hygienicznej w Edimburgu członek jej Ballantyne tak zsumował obecne zadania pedagogiczne. Należy: 1) urządzić lepiej szkoły pod względem zdrowotnym; 2) pomnożyć ćwiczenia fizyczne; 3) nadać kształceniu kierunek bardziej hygieniczny. „Zaprowadźmy— powiada on — większą w niem rozmaitość: niech stanie zmienia się kolejno z siedzeniem, pisanie z czytaniem, praca z odpoczynkiem; zapobiegajmy, ażeby dzieci siedząc, nie miały odzieży lub nóg mokrych; zmieniajmy często sale klasowe, ozdabiajmy je gustownie, posługujmy się szczodrze widokami i obrazami.“ Dalej 4) żąda Bellantyne ustanowienia w szkołach nadzoru lekarskiego; 5) zmiany kar. Koza lub zadawanie lekcyj dodatkowych — środki te wydają mu się niewłaściwe, gdyż uszczuplają czas dla wypoczynku. „Sądzę—twierdzi on — że kary cielesne, używane sprawiedliwie, są jeszcze najskuteczniejsze. Pewność, że tego rodzaju kara może być zastosowana w potrzebie, wywiera dziwny wpływ moralny w szkole; lecz powinniśmy uciekać się do niej z nadzwyczajną oględnością.“ Hygienista szkocki wyłącza targanie za uszy itp., zaleca tylko „rózgi *super dorsum.*“ Wymaga on 6) kształcenia gromadą, 7) zmniejszenia wykładów języka greckiego i łaciny i 8) rozszerzenia lekcyj nauk przyrodniczych.

Nie wchodzimy w rozbiór tego programu, gdyż ma on dla nas tylko znaczenie objawowe. Zresztą ważniejszym, bo już praktycznym wypadkiem w tej dziedzinie jest reforma podjęta przez Wilhelma II. Poniekąd można się było spodziewać, że cesarz niemiecki, pobudzany ciągłą gorączką działania, nie mogąc zużyć całej swojej energii w stosunkach zewnętrznych, zabierze się do przekształcenia wewnętrznych, a między innemi nie ominie tak ważnej dziedziny, jaką jest szkoła. Rzeczywiście obok projektu nowej ustawy dla szkół niższych, zwołano komisyę dla wypracowania programu dla wyższych. Przed tem gronem Wilhelm II wypowiedział swój pogląd pedagogiczno-polityczny, który ma być drogowskazem dla obrad. Według niego uczniowie gimnazyów są zbyt przeciążeni pracą, którą należy zmniejszyć. Kształcą się oni na dobrych greków i rzymian, a powinni kształcić się na dobrych niemców. Dla osiągnięcia tego celu potrzeba rozszerzyć wykłady języka i historyi Niemiec, kosztem greki i łaciny, a nadto w dziejach uwydatnić zasługi panującej dynastyi. Szkoła ma również podjąć zadanie przeciwdziałania socyalizmowi. Cesarz nieraz jest z mnożenia się proletaryatu umysłowego, zapowiada też, że nie udzieli pozwolenia na nowe gimnazya, których jest za wiele, natomiast chętnie widzieć będzie szkoły realne, przygotowujące wychowańców do życia praktycznego.

Jak w konferencyi międzynarodowej, zwołanej dla uregulowania sprawy robotniczej, tak też w naradzie szkolnej Wil-

helm II zdradził nieprzygotowanie, nieprzemyślenie dostateczne tych zawiłych i trudnych kwestyj, które rozcina sądem stanowczym. Żąda on bowiem od szkoły albo rzeczy z jej charakterem sprzecznej, albo niemożliwej. Bo jakże pogodzić naukę, niezależną od wszelkich względów, z dążnościami niemieckiego patryotyzmu lub szowinizmu, z wychwalaniem Hohenzollernów, bez gwałcenia prawdy, o którą głównie chodzić powinno? Jakże pokonywać socyalizm, który jest teoryą ekonomiczną, przy uczeniu dzieci, które o sprawach ekonomicznych nie mają żadnego wyobrażenia? To też gazety niemieckie z grzecznością należną wysoko stojącemu reformatorowi, ale i ze szczerością, której on sam wymaga, wskazują słabe punkty jego poglądu i wykazują niemożliwość urzeczywistnienia go w tej formie, w jakiej został wygłoszony. Do składu komisyi szkolnej wchodzą ludzie bardzo poważni i znakomici, którym nie zbraknie ani wiedzy, ani doświadczenia, ani odwagi — pozostawmy więc im tę sprawę, zwłaszcza że ona bezpośrednio nas nie obchodzi. Obchodzą nas tylko dwa główne znamiona zamierzonej reformy, mianowicie: chęć ograniczenia klasycyzmu w wychowaniu publicznem oraz nadanie szkole charakteru politycznego i narodowego. Ma ona w Niemczech kształcić nie greków, nie rzymian, nawet nie ludzi, ale niemców, poddanych Hohenzollernów i przeciwników socyalizmu. Stanie więc pod działaniem pewnych, określonych zgóry wpływów i zacznie się posługiwać czynnikami leżącymi po za obrębem niepodległej nauki, a w zakresie praktycznych celów państwowych. Słowem, szkoła niemiecka staje się tendencyjną, organem i narzędziem polityki.

Z AUSTRYI.

Grzebanie ugody czesko-niemieckiej. — Parę słów o polityce młodo-czechów. — Otwarcie parlamentu austryackiego i sprawozdanie budżetowe ministra Dunajewskiego.

„Stanowimy dwie w kraju narodowości o równej kulturze, o równym rozwoju, o równej potędze. Należy pociągnąć pewną linię demarkacyjną i każdej narodowości przekazać obszar, na którymby pielęgnować mogła własną indywidualność.“ Wypowiadając te słowa w obradach ugodowych sejmu czeskiego, Rieger zajął stanowisko, na którem stoją niemcy w Czechach od lat kilku. Młodoczesi stanowiska tego uznać nie chcą. Jakże szybko zmieniło się tam położenie polityczne i jak łatwo uciskani uciskać się uczą! Świeżo pozostaje w pamięci wszystkich czas, kiedy książę Auersberg był marszałkiem sejmu czeskiego, posiadającego większość niemiecką. Dziś niemcy sami popierają reformę porządku wyborczego, który czechom zapewnia większość, a oni zadowolić się tem nie chcą. Wykreślili ze swego programu politycznego tolerancyę i nie tają się bynajmniej z pragnieniem pochłonięcia niemców. Atoli to, co wydawać się może ideałem polityki narodowej, ze stanowiska sprawiedliwości stanowi krzywdę. Szum frazesów, głoszonych dziś przez wodzów młodoczeskich przygłusza sumienie publiczne, które przypomnieć by sobie powinno przykazanie: nie czyń drugiemu, co tobie nie miło. Gregr rospuścił hasło „kraj się rozdziera,“ a hasło to, podburzywszy szerokie masy ludu, rozbija dziś ugodę czesko-niemiecką. Daremnie przez parę z rzędu miesięcy cała prasa urzędowa powtarzała bezmyślne słowa: ugoda przyjdzie do skutku, bo przyjść musi. Przeciwnie: ugoda do skutku nie przyjdzie, chociaż przyjść powinna. Sejm czeski rozprawiał o ustawie oświaty krajowej. Już w ciągu dyskusyi grupa posłów staroczeskich, popierających Riegera i ugodę, szczuplała z dnia na dzień; nawet najstarszy wiekiem członek klubu dr. Trojan, wypowiedział Riegerowi towarzystwo broni, jako *inimicus rei, amicus personae*. A kiedy przyszło do głosowania nad tą ważną ustawą, dwunastu posłów staroczeskich oświadczyło się przeciw niej, a jedenastu opuściło salę. Okazuje się, że dla przeprowadzenia uchwał ugodowych rząd nie może pozyskać większości w sejmie czeskim. Sejm ten liczy 242 członków, dla zatwierdzenia ustaw ugodowych wymaganą jest większość trzech czwartych: wystarcza nieobecność 61 posłów dla uniemożliwienia postanowień. Zważywszy, że młodoczeskich jest 41, a staroczechów 23 zajęło stanowisko nieprzychylne ugodzie, opozycya rozporządza dziś 64 głosami. Cyfra ta jest wyrokiem śmierci dla pracy ugodowej. Nadzieje jej redukują się do zera, skoro weźmiemy pod uwagę, że obecnie po rozbiciu klubu staroczeskiego, tworzyć się zaczyna nowe koło posłów staroczeskich, którzy nie myślą wprawdzie zsolidaryzować się z młodymi, ale zdecydowani są działać przeciw ugodzie. Zdaje się więc, że kiedy w styczniu sejm czeski powtórnie się zgromadzi, dla uśmiercenia ugody niepotrzebną nawet będzie nieobecność najzaciętszych jej wrogów. Wszystko co teraz jeszcze dziać się może w tej sprawie, będzie tylko formą agonii. Prowodyrzy niemieccy bynajmniej też nie łudzą się co do stanu rzeczy. Wprawdzie posłowie młodoczescy dokonywają cudów na polu wniosków przewlekających i wymowy hamującej obrady; lecz są to znane sztuczki parlamentarne, które nie zamydlą oczu najnaiwniejszemu nawet mężowi stanu. To też niemcy, którzy jeszcze przed dziesięciu miesiącami na zgromadzeniu w Cieplicach jawnie przyznali się, że zgoda byłaby dla nich pożądaną ze względów politycznych i ekonomicznych, dziś zdecydowali się do nowego podjęcia walki w formie najostrzejszej i wydali manifest, wzywający przemysłowców, aby nie brali udziału w wystawie czeskiej 1891 r. Póki czesi walczyli o swobodę rozwoju narodowego, usiłowania ich zasługiwały tu na pełną sympatyę; gdyby istniała alternatywa: czesi muszą pochłonąć niemców, albo niemcy pochłoną czechów, każdy szczep słowiański przyklaskiwałby ostatnim i w dzisiejszej fazie ich walki. Lecz alternatywa taka nie istnieje, a nadanie całemu krajowi administracyi i szkolnictwa czeskiego, w czem się streszcza dążność młodoczechów, byłoby pogwałceniem praw narodowych ludności niemieckiej, która dziś zrzekła się wszelkich do panowania pretensyj. Niemcy w Czechach zaś, to nie drobna kolonia szwabska, którą naród mimochodem wchłania. Kwestya niemiecka w Czechach, to kwestya ruska w Galicyi. Mówią, że bogacz tylko może być nieludzkim, a dobroczynnym ten, co sam nędzy doznał. Niechże narody-bogacze hołdują polityce siły przed prawem; tym zaś, które same doznały sromu i boleści wywłaszczenia politycznego, przystoi polityka sprawiedliwości.

Rozbicie ugody czesko-niemieckiej na razie żadnych nie wywołało skutków w stosunkach rządu i parlamentu austryackiego. Owszem, przemowa ministra Dunajewskiego, który w dzień otwarcia zimowej sesyi Rady państwa przedstawił sprawozdanie ze swych czynności na polu finansów austryackich, dowiodła opozycyi, że rozkład dzisiejszej większości bynajmniej nie jest blizkim. Dunajewski, zamiast biadać nad fatalnościami czeskiemi, wyraził większości swe uznanie, iż dzięki zgodnemu jej w sprawach państwa postępowaniu, rezultaty usiłowań jej wreszcie cyframi wykazać można. Istotnie też wykazał nadwyżkę dochodów nad wydatkami i stwierdził, że budżet jego tegoroczny stanowi spełnienie obietnicy danej w pamiętnej mowie od tronu, że gabinet obecny pokryje niedobór bez uciekania się do kredytu i bez naruszenia siły wytwórczej ludów. Nie mogąc zwalczyć cyfr, opozycya zwraca się przeciw temu ostatniemu twierdzeniu. Budżet Dunajewskiego, dowodzi ona, tem tylko żyje, co człowiek jeść musi: w czemże zasługa, w czem oryginalność ministra? Podatek wódczany, to pomysł Bismarka, podatek od nafty i kawy, to pomysł Tiszy, podwyższenie ceny tytoniu, to stary środeczek rządu austryackiego. Nigdzie nie widać reformy zasadniczej, próby zastąpienia szkodliwych praktyk dobremi...

Trudno obronić politykę finansową Dunajewskiego od zarzutu, że zbyt dotkliwie nakręciła śrubę podatkową i że ludności daje się we znaki; nie można też powiedzieć na chwałę jej, że istotnie wprowadza system nowy, zdrowszy. Lecz w tem niezaprzeczona jej zasługa, że chociaż nie różni się zasadniczo od polityki finansowej stronnictwa, będącego dawniej u steru, dokonywa przynajmniej poprawy finansów austryackich, podczas gdy gabinet uprzedni finanse te w opłakanym pozostawił stanie.

S.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Sceny, które rozegrały się i rozgrywają w gronie posłów irlandzkich, należą do wyjątkowych w historyi. Wyobraźmy sobie posiedzenie 80 kilku ludzi, z których więcej niż połowa piorunuje przeciw jednemu ze swych towarzyszów, wykazuje konieczność usunięcia go dla dobra kraju, a ten towarzysz przewodniczy obradom jako prezes. Nietylko przewodniczy, ale odbiera głos stanowczym przeciwnikom, dowodzi konieczności utrzymania go na stanowisku naczelnem, a wreszcie zapowiada, że przed żadnym naciskiem nie ustąpi. Ale nareszcie przewlekająca się i dziwaczna awantura doszła do jakiegoś kresu: większość posłów opuściła Parnella i wybrała sobie innego przewodnika, a skutkiem tego partya irlandzka rozłamała się na dwie grupy. Pomimo odstąpienia tak znacznej liczby towarzyszów, pomimo piorunującej przeciw niemu odezwy duchowieństwa, którą odczytano we wszystkich kościołach, Parnell godności swojej zrzec się nie chce i walczy jak zraniony tygrys. Ostatnie sceny przekonały, jak twardym jest charakter tego człowieka i jak on steroryzował tę gromadę, której przewodniczył. Podczas obrad— ciągle jako prezes — nie dopuszczał do głosu przeciwników, lżył ich, a niewiele brakło, żeby nie kazał swym poplecznikom użyć kijów. W całej walce ani razu nie pozwolił wmieszać do rozpraw stosunku swego do pani O'Shea i utrzymywał je wyłącznie w granicach polityki i stosunku do stronnictwa liberałów angielskich. Dla umysłów wrażliwych i niechciwych władzy za wszelką cenę sympatycznym on nie jest, ale nikt mu nie odmówi jakiejś tytanicznej siły charakteru.

Chociaż cesarz niemiecki przy zagajeniu prac komisyi szkolnej sypnął szczodrze pochlebstwami Gosslerowi, nie milknie pogłoska o prędkiem ustąpieniu ministra oświaty, dla którego te grzeczności miały być kadzidłami przedśmiertnemi. Być może jednak, że wieść ta dogadza tylko wielostronnemu życzeniu, niema dziś bowiem w Prusach ministra, którego tyle żywiołów pragnęłoby widzieć „w stanie spoczynku.“

Ex-królowa Natalia nie dała za wygraną. Pomimo że dziś ani w rządzie, ani w sej-

mie, ani w duchowieństwie nie ma przyjaciół, złożyła skupczynie memoryał, dotyczący jej pożycia z Milanem, rozwodu i stosunku do syna. Oznajmiono jej poufnie, że akt ten przesłany został pod niewłaściwym adresem, że zawarte w nim pretensye i życzenia nie wchodzą w obręb praw skupczyny i są już załatwione na innej drodze. Ale niezwalczona kobieta, jeśli w ten sposób nie zyska satysfakcyi, postanowiła wszystkie dowody wraz ze swojem objaśnieniem wydrukować po francusku i cały świat uczynić sędzią swego zatargu z mężem. Milan więc będzie musiał połknąć jeszcze niejedną gorzką pigułkę od swojej byłej żony. Ani „ukrócić spornej,“ ani odczepić się od niej prędko nie zdoła.

W wiedeńskiej Radzie państwa przedstawili się dwaj nowowybrani jej członkowie galicyjscy: Antoni hr. Wodzicki i August Sokołowski (z Krakowa). Ten ostatni, nienależący do bandy stańczyków, wyszedł zwycięzcą po zażartej i sromotnej z nimi walce. Dawno już nie wpuścili oni do agitacyi przedwyborczej tyle wstrętnego błota.

Po tryumfie rozpoczęły się dla Crispiego kłopoty: musi on naprzód zmienić paru ministrów — co mu przyjdzie łatwo, ale także pomyśleć o losie 5,000 robotników, których odprawiono w Turynie dla braku zajęcia — co jest daleko trudniejszem. Tu nie pomoże, bo głodnych nie nakarmi, ani „wielka mowa,“ ani „potrójny sojusz,“ ani wydalenie korespondentów gazet zagranicznych, ani żaden z tych środków, którymi minister włoski zwykle działa. Trzeba pomyśleć o kwestyi życia biednych mas, umierających z głodu i wycieńczonych podatkami.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

SZKOŁY ŚREDNIE W GALICYI.

(Dokończenie).

Wobec mnóstwa uczniów o zdolnościach niedochodzących nawet średniej miary, obniża się i sposób traktowania przedmiotu i wymagania aż do ostatnich granic możebności. Zmniejszyć napływu nie mogą wcale rozporządzenia ministerstwa oświaty co do podwyżki opłaty szkolnej, dały się one wprawdzie uczuć boleśnie biednym rodzicom, ale wstrzymały przepełnienia. Skutecznie zaradzić temu może tylko z jednej strony zakładanie szkół innego rodzaju, a mianowicie przemysłowych i realnych, do których mogłyby odpłynąć zastępy młodzieży, niepotrzebnie obciążające gimnazya, z drugiej zaś otwieranie nowych gimnazyów na prowincyi. Że liczba ich w naszym kraju jest nazbyt mała i koniecznie wymaga rychłego pomnożenia, co najmniej o połowę, na to zgadzają się wszyscy. Komisya szkolna jednak niewłaściwie sądzi, że powiększenie liczby gimnazyów powinno przedewszystkiem nastąpić w miastach większych, a dopiero gdy się tej potrzebie stanie zadość, przyjdzie kolej na mniejsze. Miasta większe mają gimnazya przeludnione, mniejsze zaś nie mają żadnych, a biedni rodzice pozbawieni są zupełnie możności posyłania swych dzieci do szkoły średniej. Zresztą przez otworzenie kilku nowych gimnazyów we Lwowie i Krakowie, nie przeszkodzi się z pewnością temu, że inne pozostaną i nadal zapchane. Od dłuższego czasu posługują się w owych przepełnionych zakładach nędznie płatnymi zastępcami nauczycieli czyli suplentami, których liczba w naszym kraju dochodzi do wysokości nieznanej nigdzie. Suplenci stanowią u nas $^2/_5$ części ciała nauczycielskiego (mamy 201 zastępców, obok 324 nauczycieli rzeczywistych), a to wytwarza stosunek nienormalny, grożący na przyszłość najgorszymi skutkami. Temu złemu więc zaradzić potrzeba jak najspieszniej przez ustanowienie nowych posad nauczycielskich. Podwyższenie etatu konieczne samo przez się w interesie nauki, nabiera jeszcze większej wagi i znaczenia przez to, że tylko ten środek może zapobiedz niebezpieczeństwu, zaczynającemu występować coraz groźniej: ubytkowi sił nauczycielskich, który może łatwo się zmienić na brak ich zupełny. Olbrzymi zastęp suplentów, w połowie (111) nieposiadających żadnego egzaminu, musi słusznie przerażać, a cała sprawa, już od lat 30 nieschodząca z porządku dziennego, domaga się gwałtownie załatwienia. Suplentura, przez Zarys Organizacyjny, uważana tylko za środek chwilowy, za wyższy niejako stopień przygotowawczy do zawodu nauczycielskiego, w kraju naszym stała się instytucyą samoistną i ciągłą, a wskutek tego przepisy o nabywaniu kwalifikacyj nauczycielskich dla Galicyi prawie nie istnieją wcale. Suplentura, trwająca niekiedy przez lat kilkanaście, odstrasza od poświęcenia się zawodowi nauczycielskiemu. Młodzież zdolniejsza coraz bardziej stroni od „filozofii,“ a garnie się ku niej przeważnie biedna, nie czująca w sobie sił do zdobycia lepszego stanowiska i gotowa poprzestać na lichej i upokarzającej posadzie, ale dającej się uzyskać prędzej, niż inna. Stąd płynie także „ubytek i brak sił nauczycielskich,“ jak wskazuje wyraźnie sprawozdanie krajowej Rady szkolnej. Sprawę suplentów poruszył sejm, ale po to chyba, ażeby wypowiedzieć kilka pięknych na ten temat uwag. *„Alles bleibt sonst beim Alten.“* Upadek naszych szkół średnich objawia się najdowodniej w świetle statystyki porównawczej. Ponieważ są one utrzymywane przez rząd, dla tego biorę do porównania tylko kraje monarchii austryackiej. Otóż kiedy np. Czechy, liczące tyle mieszkańców, co Galicya, tj. około 6 milionów, posiadają przeszło 70 szkół średnich, my nie posiadamy ich ani połowy (obecnie 31). W Czechach przypada więc jedna szkoła średnia na 82,255, w Galicyi aż na 205,511 mieszkańców, czyli że w Czechach jedna szkoła wystarcza na 742 kilometrów kwadratowych, u nas na 2,532. Nawet w Bukowinie i Dalmacyi, u tych kopciuszków, zajmujących zawsze ostatnie miejsce w statystyce austryackiej, okazuje się daleko lepszy stosunek. W Dalmacyi np. mamy szkołę średnią na 86,247 mieszkańców, kiedy np. w samej Austryi (dolnej) przypada jedna na 483 kil. □. I cóż znaczą wobec tych cyfr „rządy polskie“ w Austryi, o których bajeczne krążą wieści. Błogosławiony nasz kraj, mlekiem i miodem płynący, obfituje także w liczne stypendya dla ubogiej młodzieży. W wydziale krajowym otworzono na ten cel osobne bardzo kosztowne biuro. Powszechnie utarło się zdanie, że tych zapomóg mamy więcej, niż inne kraje. Pomijając tę okoliczność, że przeznaczone są niemal bez wyjątku dla dzieci szlacheckich i że dla żydów mamy tylko jedno (Kallira), to w stosunku do innych krajów koronnych, zadaje statystyka kłam naszej osławionej szczodrości. W Austryi górnej jest na 100 uczniów 11 stypendystów; podobny stosunek zachodzi w Tyrolu, Salzburgu, w Karyntyi itd. w Krainie na 100 uczniów 15 pobiera stypendya, nawet w Dalmacyi mamy 9% stypendystów, tylko w Galicyi na 100 uczniów wypadają 2 stypendya *).

Smutny objaw, że w średnich szkołach galicyjskich bywa stosunkowo więcej uczniów prywatnych, niekorzystających z oświaty publicznej, niż gdzieindziej, powtarza się w statystyce, a w związku z tem pozostaje niepomyślny wynik egzaminów dojrzałości. W gimnazyach galicyjskich przepuszczono 22.29%, w szkołach realnych 22.13%, w innych zaś krajach Przedlitawii w gimnazyach tylko 6.70%, a w szkołach realnych 8.50%. Statystyka egzaminów dodatkowych wykazuje także większe liczby w szkołach galicyjskich. W gimnazyach było poprawek 18.98%, w szkołach realnych 27.05%, wreszcie Przedlitawii — w gimnazyach 8.80% w szkołach realnych 11.44%.

Jak małe są wyniki naszej nauki szkolnej, dowodzi tabela statystyczna Rady szkolnej, wykazująca, że w naszych szkołach realnych większy jest procent ogólnego postępu złego, niż w gimnazyach w reszcie Przedlitawii; na 100 uczniów klasy I po 8 latach tylko 32 kończy pomyślnie klasę VIII, a w szkołach zaś realnych ze 100 uczniów klasy I po 7 latach otrzymuje promocyę w klasie VII tylko 21! Uczniowie, którzy zupełnie prawidłowo kończą studya w naszych szkołach średnich stanowią raczej wyjątek, niż regułę...“

Beta.

*) Powyższe cyfry zestawiłem z dzieł urzędowych: *Osterreichische Statistik*, herausgegeben von der k. k. Statistischen Central Comision, Wien 1890 i *Osterreichisches Statistisches Taschenbuch*, bearbeitet nach amtlichen Quellen. Wien 1890.

Z POZNAŃSKIEGO.

1 grudnia.

Wybory do rady miejskiej. — Ks. biskup Kopp poprawił się. — Reformy szkoły pruskiej. — Radca Wehr w kozie. — Wybór arcybiskupa.

Wybory do Rady miejskiej w Poznaniu, jak przewidywaliśmy, wypadły dotychczas niepomyślnie. W trzeciej klasie wybrano trzech radców, między nimi dwóch niemców, w drugiej — jednego i to niemca, w pierwszej — dwóch, również niemców. Pozostaje jeszcze sześć wyborów uzupełniających (ściślejszych), które, o ile obecnie sądzić można, wypadną raczej na korzyść niemców, niż polaków. Najwięcej szans przejścia z pomiędzy pierwszych posiada tylko Jan Szpecht, kandydujący w klasie trzeciej, w drugim obwodzie; w najlepszym przeto razie na 12 nowych radców tylko dwóch będzie polaków.

Dzienniki w Poznańskiem już pouczyły swą publiczność, że ks. biskup Kopp nie jest tak bardzo złym człowiekiem i działalność jego na Szlązku nie jest bezwarunkowo dla słowian szkodliwą. Dzielny ten kapłan złożył w ostatnich czasach niewątpliwe dowody tego, że jest przychylnym projektowi, aby słowianin prócz języka niemieckiego uczył się także i rodzimego. Oto wydał on rozporządzenie, zaprowadzające naukę języka polskiego w wrocławskim konwikcie teologicznym dla tych studentów, którzy później mają być użyci jako księża w gminach z ludnością polską lub mieszaną. Co więcej, wyrobił nawet zezwolenie u odnośnej władzy, żeby aż 20 (!!) uczniów wrocławskiego katolickiego gimnazyum św. Macieja mogło również pobierać naukę tego języka, gdyż dotychczas było to dozwolone tylko uczniom szkół ewangielickich — niemcom. W ten sposób nawet nieniemcy będą mogli uczyć się języków słowiańskich, co niewątpliwie szkodliwie znów oddziała na państwowy ustrój pruski i będzie w parlamencie berlińskim wielokrotnie wytknięte mieszkańcom Szlązka i Poznańskiego.

Widocznie sam rząd pruski przyszedł już do przekonania, że dotychczasowy system szkolny fatalnie wywiera skutki, gdyż wniósł w sejmie projekt reformy. Wprowadzając dawny, myślano tylko o tem, aby jaknajprędzej wynaradawiać ludność dwu wspomnianych prowincyj — wychowanie moralne dzieci i danie im jakiejkolwiek wiedzy uznano za rzecz podrzędną. Tymczasem rachuby zawiodły — ludność cichy, ale zacięty stawiała opór, nauczycieli niemców nie uznawała, dzieci do szkół stanowczo, mimo wielkich kar, posyłać nie chciała

i rezultat dziś tego taki, że Wojtki, Jaśki i Bartki czytać ani gotyckich, ani łacińskich liter nie umieją; wzięci do wojska rozdzierają uszy mazurskim akcentem swym „führom“ i „kapralom,“ a ukończywszy edukacyę wojskową, umieją po niemiecku tylko... kląć.

Projekt nowy interesuje najwięcej nauczycieli, ci zbierają się licznie rozprawiają nad nim i doradzają zmiany. Ciekawem było takie zebranie stowarzyszenia katolickich nauczycieli powiatu pszczyńskiego na Górnym Szląsku w Pszczynie. Nauczyciel Urban ze wsi Robier rozbierał na niem wady dotychczasowego systemu szkolnego i podał jako przyczynę marnych rezultatów działalności elementarnych szkół górnoszląskich (to samo w Poznańskiem) 1) *bierną opozycyę rodziców względem pracy nauczyciela w izbie szkolnej,* 2) liczne mimo kar zmudy szkolne, 3) ustawiczne przeszkody i przerwy w regularnej nauce, 4) często zachodzące półdniówki, 5) zniesienie godzin repetycyj w dni niedzielne, 6) *młodych nauczycieli, którzy tylko niemieckim językiem władają.*

Warto wiedzieć, jaką jest liczba tych, o których tu chodzi. Ogólna ilość wszystkich dzieci w szkołach pruskich wynosiła w dniu 20 maja 1886 r. 5,082,252; z tych mówiło wyłącznie tylko po niemiecku 4,426,679 dzieci (87.1%), wyłącznie tylko po polsku 503,064 (9.9%), po polsku i po niemiecku 72,740 (1.43%), po litewsku 12,754 (0.25%), po litewsku i niemiecku 8,393 (0.17%), tylko po łużycku 9,961 (0.20%), po łużycku i niemiecku 4,419 (0,09%) po czesku 8,761, po czesku i niemiecku 2,828, po duńsku 24,651, po duńsku i niemiecku 1,627, innymi językami 4,538, niemieckim i niemieckim 1,837.

Obecnie przygotowuje się spis nowy, którego rezultaty już wkrótce będziemy znali. Królewskie biuro statystyczne wydało odezwę do ludności, w której zwraca uwagę na ważność statystyki, oraz podaje bliższe objaśnienia co do odbyć się mającego spisu. Niewytłomaczonym sposobem dostały się do formularzów rubryki, które prócz ludności niemieckiej rozróżniają polską, *kaszubską* i *mazurską* (?). Kończę tę korespondencyę jeszcze dwiema wiadomościami. Zacięty wróg słowian znany p. radca Wehr został oskarżonym o oszustwo i zasądzonym za prostą kradzież (grzeczniej sprzeniewierzenie) funduszów sobie powierzonych na jeden rok więzienia.

Arcybiskupem gnieźnieńsko-poznańskim ma być podobno mianowany ks. Mieczkowski.

t. z.

BADANIA NAUKOWE.

Karol Marx. *Pisma pomniejsze.* tom III. *Przyczynek do krytyki ekonomii politycznej.*

Nasza literatura ekonomiczna doczekała się w obecnym roku przekładu polskiego dwóch najważniejszych prac K. Marxa. Przedewszystkiem ukazał się ostatni zeszyt pierwszego tomu *Kapitału*, obecnie zaś pojawił się w tłomaczeniu Winiarskiego *Przyczynek do krytyki ekonomii politycznej* *). Stanowi on tom trzeci wydawnictwa zbiorowego, w którem mają wyjść wszystkie pomniejsze pisma zmarłego badacza.

Przyczynek jest niejako pierwszem wydaniem późniejszego *Kapitału*. Marx miał zamiar opracować różne pytania ekonomiczne w szeregu mniej lub więcej niezależnych od siebie rozpraw, a pierwszą z nich była obecna książka. Mamy tu analizę towaru i prostego obiegu, wreszcie rozwiniętą w sposób wyczerpujący teoryę pieniędzy. Lecz podczas przygotowywania dalszych części autor zmienił projekt pierwotny. Ukazał się *Kapitał* i wspomniana rozprawa została doń włączona jako dział pierwszy. Naturalnie uległa ona pewnym skróceniom, niekiedy bardzo znacznym, zwłaszcza w tych ustępach, gdzie mowa o pieniądzach. W każdym razie jadnak *Przyczynek* pozostał czemś zupełnie całkowitem, jakby rodzajem wstępu do głównego dzieła Marxa.

W przedmowie autor streszcza swoje zapatrywania historyozoficzne. W społecznem tworzeniu swego życia ludzie podlegają pewnym określonym, koniecznym, od woli ich niezależnym stosunkom — produkcyjnym, które odpowiadają ściśle rozwojowi materyalnych sił wytwórczych. Ogół tych stosunków stanowi o ekonomicznej budowie społeczeństwa i jest niejako fundamentem, na którym wznosi się prawny i polityczny gmach. Tym stosunkom rzeczowym odpowiadają społeczne formy świadomości. Sposób stwarzania warunków życia materyalnego wyciska swoje znamię, co więcej, uwarunkowywa wszelkie zjawiska społeczne, polityczne i duchowe. Nie świadomość ludzi określa formy ich bytu (społecznego), lecz przeciwnie byt społeczny określa właśnie formy świadomości. Na pewnym szczeblu swojego rozwoju materyalne siły wytwórcze stają w sprzeczności z istniejącymi stosunkami własnościowymi, które z dotychczasowej dźwigni postępu zamieniają się na bezużyteczne pęta. Następuje epoka przełomu w społeczeństwie. Ze zmianą ekonomicznego podkładu cały olbrzymi gmach, zbudowany na nim, wali się — prędzej lub wolniej. Przy rozważaniu takich epok dziejowych trzeba wciąż mieć na uwadze różnicę, jaka istnieje pomiędzy materyalnym z przyrodniczą pewnością możliwym do stwierdzenia przewrotem w zakresie ekonomicznych warunków produkcyi a prawnemi, politycznemi, religijnemi, artystycznemi i filozoficznemi, słowem idealnemi modłami, zapomocą których ludzie uświadamiają sobie ten zatarg i za które walczą. Jak niepodobna sądzić o człowieku z tego, co on sam o sobie myśli, tak samo nie wolno wydawać sądów o takiej epoce przełomowej na podstawie jej własnej samowiedzy, lecz raczej należy tę samowiedzę wyprowadzać ze sprzeczności życia materyalnego, z istniejącego zatargu pomiędzy społecznemi metodami wytwarzania a stosunkami własnościowymi. Żadna formacya społeczna nie schodzi ze świata, dopóki wszystkie potęgi wytwórcze, do wyłonienia których jest ona dostatecznie rozległą, nie zostaną należycie i zupełnie rozwinięte. I nowe, wyższe stosunki produkcyjne nigdy nie ukazują się na arenie dziejowej, póki materyalne warunki dla ich istnienia nie poczną się i nie dojrzeją w łonie starego społeczeństwa. To też ludzkość w swoim rozwoju dziejowym stawia sobie tylko takie zadania, do rozstrzygnięcia których może się już zabrać i przy bliższem rozpatrzeniu rzeczy zawsze odnajdziemy, iż samo zadanie jedynie tam bywa sformułowane i wychodzi na jaw, gdzie istnieją już materyalne warunki, niezbędne do rozwiązania go, albo też gdzie znajdują się one przynajmniej w fazie powstawania.

Te poglądy historyozoficzne, wysnute na podstawie wyczerpujących studyów ekonomicznych i historycznych, w zastosowaniu do teraźniejszej chwili głoszą, że i obecnie, skutkiem rozwoju ekonomicznego, ukazał się w nowoczesnem społeczeństwie rozbrat pomiędzy metodami produkcyi a istniejącymi stosunkami prawno - politycznymi, który odzwierciedlając się w warunkach bytu i mózgach ludzkich, powołał do życia dzisiejszą „kwestyę społeczną.“ W takiem oświetleniu dzisiejsze niedomaganie społeczne jest przedewszystkiem sprawą produkcyi i nie ustanie, póki ustawa prawno-polityczna społeczeństwa nie zostanie dopasowana do wymagań tegoczesnych sił wytwórczych. Otóż w walce interesów, która wybucha z takiego stanu rzeczy, najważniejszą rzeczą jest dokładna analiza teraźniejszości i zbadanie, na czem polega istota dzisiejszej chwili i dzisiejszego rozwoju. Właśnie Marx podjął to olbrzymie zadanie.

W następstwie studyów jego nad ekonomią i historyą ukazały się prace takie, jak *Kapitał*. Naturalnie, w wielu najważniejszych ustępach swoich dzieło to jest jedynie dalszem rozwinięciem i uzasadnieniem dawniej wypowiedzianych zdań i poglądów. Ażeby wskazać jednakże stanowisko, właściwe temu badaczowi i jednocześnie wyosobnić go od poprzedników, zatrzymamy się nad teoryą „wartości dodatkowej.“ Już u Smitha mianowicie znajdujemy ustępy, świadczące, że pojmował on zysk przedsiębiorczy i rentę ziemską jako proste odciągi z produktu robotników. Rikardo poszedł jeszcze dalej. Wywody jego dały początek wprost całej szkole ulotnych pamflecistów, usiłujących wyzyskać teoryę jego na korzyść warstw pracujących, a literatura ta jest tak obfita, iż Marx, przytaczając ją w jednej ze swoich prac i wymieniwszy kilku przedstawicieli kierunku, powiada, że pozostało jeszcze do zacytowania aż cztery stronice innych nazwisk! „Wszystkie dążności tego, co my nazywamy społeczeństwem, streszczają się w jednej, mianowicie, aby wszystkimi możliwymi sposobami, drogą oszustwa lub zamydlenia oczu, postrachu lub przymusu, zniewolić robotnika produkcyjnego do wypełnienia swojej roboty za jaknajmniejszą część wytworu własnej jego pracy.“ Ustęp ten z broszury jednego takiego pamflecisty charakteryzuje całą tę szkołę. Słowem, ogólne zasady teoryi „wartości dodatkowej“ były już ustalone przed wystąpieniem Marxa. Cóż on jednak uczynił, że ją wiążą wyłącznie z jego nazwiskiem? Dla wyjaśnienia, za przykładem Engelsa, zatrzymajmy się nieco nad dziejami chemii. Istniała niegdyś teorya flogistonu, wyjaśniająca wielki proces palenia tem, że od ciała płonącego odłącza się stale inne: flogiston. W r. 1774 Priestley otrzymał „szczególny rodzaj powietrza,“ zupełnie wolny od obecności flogistonu; później zaś znalazł, że palenie odbywa się energiczniej w tem „powietrzu,“ aniżeli w zwykłem i wywnioskował, że z połączenia tego żywiołu z flogistonem powstaje ciepło i ogień. Dopiero wszakże Lavoisier wykazał istotne znaczenie tlenu. Jego poprzednicy znali to ciało chemiczne, lecz wprost nie wiedzieli, co z niem począć. Podobnie i poprzednicy Marxa mieli do czynienia z kategoryą wartości dodatkowej, lecz poprzestawali na tem, że jest to odciąg z produktu pracy. Klasyczna ekonomia mieszczańska poszukiwała co najwyżej stosunku, w jakim produkt pracy rozpada się pomiędzy przedsiębiorcą a najmitą. Socyaliści tymczasem biadali na ten stan rzeczy, nazywając go niesprawiedliwością i szukali środków utopijnych usunięcia tego „niesprawiedliwego faktu.“ Tymczasem Marx zajął odrazu inne stanowisko. Pojął on, że nie chodzi tutaj o proste stwierdzenie istniejącego zjawiska ekonomicznego, jak to czyniła ekonomia klasyczna, ani też o zatarg tego faktu z wymaganiami „wiecznej sprawiedliwości“ i „istotnej moralności,“ lecz o zbadanie i analizę stosunku, który jest powołany do zburzenia całego gmachu dotychczasowej ekonomii i jednocześnie dostarcza klucza do zrozumienia najgłębszych tajników społeczeństwa mieszczańskiego. Wartość dodatkowa stała się kamieniem probierczym, a jednocześnie punktem wyjścia dla wszystkich poszukiwań autora *Kapitału*. Żeby zbadać tę kategoryę, musiał on naprzód poddać rozbiorowi, czem jest sama wartość. On pierwszy dopiero wyznaczył, jaka to praca i na jakiej zasadzie stwarza ową wartość. Poddał on wyczerpującej analizie różne zjawiska ekonomiczne i wreszcie wyświetlił rodowód wartości dodatkowej, względem której dotychczas albo

*) *Zur Kritik der politischen Oekonomie.*

oburzano się jedynie, lub tylko ją gołosłownie stwierdzano bez wykazania procesu jej powstawania.

Skreśliliśmy to przedstawienie rzeczy ze słów Fryderyka Engelsa. Jasno ono oświadcza, że głównem zadaniem *Kapitału* i innych studyów zmarłego krytyka społecznego było poznanie istoty dzisiejszego ustroju ekonomicznego. Lecz doniosłość faktu tego jest większa, aniżeli popchnięcie nauki ekonomicznej na nowe tory. Wyświetlenie tajników nowoczesnego społeczeństwa kapitalistycznego staje się jednocześnie najważniejszym orężem teoretycznym w ręku wyzwalającej się warstwy robotniczej. Jest to zarazem wykazanie, gdzie spoczywa źródło dzisiejszego wyzysku. Z tego punktu widzenia naukowa działalność Marxa jest nieustającą szermierką teoretyczną przeciwko kapitałowi. Naturalnie, chodzi tutaj o chwilę obecną, o wyjaśnienie dążności i praw społeństwa kapitalistycznego. *Kapitał* i inne dotychczasowe prace obracają się więc jedynie w zakresie odpowiednich widnokręgów. Nie znajdziemy tutaj analizy uprzednich formacyj ekonomicznych, ani starodawnych, które dogorywają pod rozkładowem tchnieniem kapitalizmu— jest to wyłączny rozbiór ostatniego.

Przy sposobności zauważymy, na podstawie zapewnień z wiarogodnego źródła, że trzeci tom *Kapitału*, z taką niecierpliwością oczekiwany, z początkiem przyszłego roku zostaje oddany w języku niemieckim do druku.

Lud. Krz.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

PRZYSZŁOŚĆ WIEDZY.*)

Paryż, 1 grudnia.

Poglądy społeczne Renana dotychczas mało były znane. Wiedziano tylko, iż jest zwolennikiem rządów arystokracyi naukowej i że po zduszeniu Komuny znajdował się w liczbie siedmiu filozofów, którzy kazali wybić Brebantowi medal złoty na znak wdzięczności; mistrz sztuki kucharskiej karmił ich najwyszukańszemi potrawami wówczas, gdy współziomkowie ich zadawalali się zdechłą koniną, a szczura uważali za przysmak. Zaliczono więc Renana do obozu zadowolonych i tryumfujących, a przynajmniej do grona obojętnych, jakimi są zazwyczaj mandaryni nauki. Dzieło, którego tytuł powyżej przytoczyliśmy przedstawia nam znanego badacza początków chrześcijaństwa w zupełnie odmiennem świetle. Znajdujemy tu wyznanie wiary demokraty. Rozumie się 40 lat, które ubiegły od chwili napisania tej pracy, ostudziły znacznie młodzieńczy zapał, ale nie zgasiły go widocznie w zupełności, jeżeli autor nie stara się zatrzeć jego wspomnienia.

Zauważmy naprzód, iż Renan był w r. 1848 świadomym zupełnie wielbicielem nauki społecznej, pozytywnej, opartej na doświadczeniu, widzący w naturze i życiu tylko grę i rozwój sił naturalnych. „Byłem już wówczas — mówi on — ewolucyonistą zdecydowanym we wszystkiem, co się tyczy wytworów ludzkości z języków, literatur, prawodawstw, religii, form społecznych.“ Już wówczas był on zupełnie przekonany, iż religia będzie kiedyś miłością bliźniego, siłą, rozwijającą się w sposób naturalny od wieków, w głębi naszego ducha, którą nauka obecnie odkrywa, jako fakt niewątpliwy. „Jestem głęboko przeświadczony — powiada on — iż religia przyszłości będzie czystym *humanizmem.*“ Na wskroś mylnemi są te poglądy, które twierdzą, jakoby nauka miała usprawiedliwiać w pożyciu społecznem czysto zwierzęcą walkę o byt. Przeciwnie wprowadza ona do tej dziedziny najszczytniejsze ideały, dając im podstawę naturalną, niezależną od przyczyn metafizycznych.

Nauka wreszcie stanie się z czasem jedyną przewodniczką życia społecznego, ona kiedyś wyrzeknie ostatnie słowo naszego przeznaczenia i wskaże, w jaki sposób dopiąć celu: szczęścia wszystkich. Dotychczas losami świata kieruje kaprys lub namiętność, rzadko myśl. Polityka jednak ustąpi z czasem miejsca „mistrzyni nauk,“ filozofii, tj. nauce, która bada przeznaczenie i warunki bytu społecznego... *Uorganizować naukowo ludzkość* — oto ostatni wyraz wiedzy nowożytnej, taka jest jej śmiała i prawowita dążność. Ale zanim do tego celu dotrzemy, umysł ludzki pracować będzie nad polepszeniem i reorganizacyą społeczeństwa. Niema, zdaniem autora, bezmyślniejszego twierdzenia nad to, że podział na klasy opiera się na naturze ludzkiej. Natura ta jest zmienna, w zależności od warunków, w jakich się obraca: jeżeli nie stała na przeszkodzie reformie politycznej we Francyi, to tem bardziej nie będzie stać na przeszkodzie reformie społecznej. „Przyznam się — powiada on — iż po głębokiem rozważeniu dążenia reformatorów politycznych z roku 1789 wydają mi się bardziej śmiałemi, a głównie bardziej niesłychanemi, niż dążenia reformatorów społecznych z naszych czasów.“

Autor wspaniale piętnuje tych obłudników, którzy sami tarzając się w dobrobycie, zarzucają klasom upośledzonym „niską zazdrość i sromotną chciwość.“ „Jakto! — woła — wy znajdujecie występnem, że oni pożądają tego, czego sami używacie? Chcielibyście zalecić ludowi zamknięcie klasztorne i powstrzymanie, gdy rozkosz jest całem waszem życiem, gdy macie poetów, którzy ją tylko opiewają? Jeżeli to życie jest dobre, to czemuż go nie mają posiadać? Jeżeli jest złe, to czemu sami doń lgniecie?“ Materyalizm, żądza bogactw mogą zniweczyć człowieka i całą klasę społeczną tylko wówczas, jeżeli się stają jedynym celem istnienia — i taki wpływ właśnie wywarły na mieszczaństwo. Samo wszakże dążenie do dobrobytu niema w sobie nic złego. Przeciwnie, jest ono rzutem postępu. „Duch ludzki nie będzie prawdziwie wolny, dopóki nie zostanie wyzwolony od tych potrzeb materyalnych, które go poniżają i powstrzymują w rozwoju“.

Przechodząc do praktycznych zadań teraźniejszości, Renan upatruje najpotężniejszą dźwignię postępu i reformy społecznej w państwie. „Państwo — mówi on — nie jest w moich oczach prostą instytucyą policyi i porządku. Jest ono identyczne ze społeczeństwem, tj. normalną formą ludzkiego pożycia... Powinno dostarczać jednostkom warunków ich udoskonalenia. Jest to moc twórcza i kierownicza, gdyż społeczeństwo nie jest zbiorem jednostek atomistycznych, lecz jednostką odrębną.“ Pierwszym i najświętszym jego obowiązkiem jest rozpowszechnienie oświaty. Nędza materyalna jest wielką klęską, ale daleko większą, zdaniem autora, ciemnota umysłowa. Utrzymywać część ludzkości w ciemnocie i zwierzęcości jest niemoralne i niebezpieczne. Zgasiliśmy piekło, zniweczyliśmy raj. Żadna siła nie jest już w stanie ich wskrzesić. Trzeba więc czemkolwiek zastąpić stare ideały nadprzyrodzone — a to uczynić może tylko oświata. Z drugiej strony ciemnota jest niebezpieczna, albowiem wszystkie wielkie zmiany historyczne odbywają się drogą przewrotów i obecnie ludzkość znajduje się pod ich groźbą. Jedynie oświata może uśmierzyć smutną tę konieczność i nadać jej najbardziej ludzkie formy. Inaczej będziemy mieli do czynienia z barbarzyńcami.

Wszystkie występki mają, zdaniem Renana, za jedyne źródło nędzę i ciemnotę. Jednostka jest odpowiedzialna za swe czyny tylko wówczas, jeżeli otrzymała wychowanie czyniące z niej człowieka. „Jakiem prawem karzecie nieszczęśliwca, który z trudnością odróżnia dobre od złego, jeżeli, kierowany grubą żądzą lub naglącą potrzebą, wykroczy przeciw społeczeństwu? Karzecie go za to, iż jest zwierzęciem; ale czyż to jego wina, jeżeli nikt nie zajął się nim od młodości, aby go oddać życiu moralnemu? Czyż to jego wina, jeżeli wychowanie dawało mu tylko przykłady występku? I dla zapobieżenia zbrodniom, których nie możecie powstrzymać, nie macie nic, oprócz wygnania i szafotu! Prawdziwym winowajcą jest tu społeczeństwo, które nie potrafiło wychować i uszlachetnić tego nieszczęśliwca. Co za dziwny traf, że prawie wszyscy przestępcy pochodzą z tej samej klasy, i to mianowicie z klasy ubogiej, uciskanej przez nędzę i pozbawionej wychowania. Dajcie biedakowi chleb i oświatę, a nie będzie przestępców. Człowiek nie rodzi się przestępcą— czynią go takim okoliczności.“

Ten pogląd Renana na zbrodnię otrzymuje obecnie, wbrew naukowym twierdzeniom Lombrosa, coraz szersze prawa obywatelstwa. Nietylko francuska szkoła kryminologów przenosi środek ciężkości w tej kwestyi do stosunków społecznych i moralnych, ale i we Włoszech spotykamy oryginalne i wymowne głosy, jak np. Colojanniego, który w drukowanem dziele, wydanem niedawno, dowodzi, iż zbrodnia nie jest bynajmniej przyrodzoną, lecz że źródło jej kryje się w stosunkach ekonomicznych*). Zbrodnię, upadek i występek można — zdaniem Renana — wytępić. Trzeba w tym celu zapewnić wszystkim oświatę i byt materyalny. „Doskonałość moralna jest niemożliwa bez pewnego stopnia dobrobytu. W społeczeństwie więc normalnem człowiek powinien mieć prawo do pierwszych podstaw, niezbędnych dla zapewnienia mu życia.“ Autor nie wątpi, iż ludzkość dojdzie kiedyś do takiego stanu, nie objaśnia wszakże, w jaki sposób to nastąpi. Znaczną, a nawet pierwszorzędną pod tym względem rolę przypisuje on państwu. Mało natomiast wagi przywiązuje do lekarstw liberalizmu, jego form politycznych, zapewniających wrzekomo szczęście i wolność wszystkich.

Chrześciaństwo rozpowszechniło swe panowanie pomimo przeszkód, jakie napotykało. Na tej kanwie autor snuje paradoks, iż rozpowszechnienie nowych idei nie może być zatamowane przez żadne formy polityczne. Przeciwnie, im większy jest opór tych ostatnich, tem większą siłę one te zdobywają. „Gdy rzeka na wiosnę wylewa, można stawiać tamy dla powstrzymania jej pochodu, lecz fala wznosi się wciąż; napróżno ludzie pracują i starają się, napróżno zalepiają wszelkie szczeliny — fala wciąż się wznosi, aż do chwili, gdy potok przesadzi mur, albo też, obszedłszy tamę, inną drogą zalewa pola, które chciano przed nim zamknąć.“

Taka jest w głównych zarysach treść nowej książki Renana. Dodajmy do tego masę poglądów sympatycznych i oryginalnych, rozrzuconych po całem dziele, które wogóle systematycznością się nie odznacza. Dowodzi on np., iż wszelkie postępy odbywały się i odbywać się będą tylko za pomocą i w czasie przewrotów, że 4—5 godzin pracy dziennej wystarczać będzie, aby zarobić sobie na zupełne utrzymanie, gdy praca zostanie tak uorganizowana, że w społeczeństwie przyszłem wszyscy ludzie pracować będą i umysłowo i fizycznie itd. Między innemi zwraca na siebie uwagę wspaniała krytyka plutokracyi, demoralizującego wpływu, jaki ona wywiera na wszy-

*) E. Renan, *L'avenir de la science* (Pensées de 1848), str. 560. Paryż, 1890.

*) Nie możemy się na to zgodzić. *Red.*

stkie strony społecznego życia, naukę i sztukę. O ile autor pozostał wierny tym poglądom, przypominającym często Bellamego, trudno orzec. Bądź co bądź musiał zachować dla nich pewną sympatyę, jeżeli się odważył ją ogłosić.

L. W.

TALENT NA RYNKU.

I.

Onego czasu przyjechał do naszego grodu chińczyk porcelanowy, który co chwila rozdziawiał gębę, pokazywał język, kiwał się i miał wielki brzuch. Ustawiono go jako wielkie dziwo w oknie składu herbaty i — niebawem gawiedź zaczęła oblegać okno i zapełniać wnętrze sklepu. Właścicielowi pomysł ten napędził sporo grosza do kabzy, co widząc inni kupcy rywale, zżółkli i zzieleleli z zazdrości — i dalejże sprowadzać sobie takich samych chińczyków.

Podobne zjawisko oglądać można co rok mniej więcej, w wielkich magazynach już nie herbaty, lecz wody, nazywających się dziennikami, kuryerami, gazetami i t. d. I dzięki temu literatura nasza zbogaconą została o cały zastęp cudów wystawowych, których nazwiska — no, ale *nomina sunt odiosa*.

Wszystkie papierowe gońce mądrości codziennej paradują dziś temi objawionemi firmami. Cóż robić? Tłum domaga się chińczyka z dużym brzuchem, dostrzeżonego pod jednym z szyldów dziennikarskich. Jeśli go nie wystawimy i u siebie — mówi wydawca lub redaktor — marnie zginiemy.

Po ukazaniu się *Dewajtysa* zaczęto p. Rodziewiczównę wyrywać sobie z rąk i — rzecz prosta — za jej własnem pozwoleniem. Zapału konsumentów nie ostudziły nawet obce domieszki w nabywanym przez nich towarze. Francuz lub prusak w bułce to u nas rzecz aż nadto zwykła, cóż więc mogło kogo obchodzić, że w *Dewajtysie* siedziała sobie najspokojniej cząstka niemieckiej pisarki, pani Manteuffel, jeżeli nie jej głowa, to coś w rodzaju tułowiu? Powieść była w rzeczy samej piękna, przesycona nawskroś duchem swojskim. Opromieniała ją jedna, wyrazista dosyć i silna indywidualność i ożywiał charakterystyczny, młodzieńczo-apostolski zapał, szczera namiętna prawie poezya natury, a więc żywioły, w takim stosunku zostające do flegmy niemieckiej, jak stary węgrzyn w omszałej butli do piwnego cienkusza w niezdarnym kuflu. Choćby więc nawet autorka nie była się wyparła kategorycznie bliższego pokrewieństwa z utworem owej pisarki, przecudownie-bliźniaczo podobnym do *Dewajtysa* swą kompozycyą, i nie zasłoniła się honorem, który w imię tegoż literackiego honoru uszanować jest naszym formalnym obowiązkiem, to i wtedy jeszcze płomienna gawęda o starym zniczu-dębie nie przestała by być dziełem samorodnego, jawnego talentu. Poezya dozna może z czasem losów sztuki i cenić w niej będziemy rozmaite czynniki artystyczne, jak uczucie, temperament, pejzaż, psychologię, propagandę nawet wówczas, gdy czynnik inwencyi, własnego pomysłu, zniknie z ogólnego porachunku. Toć już dzisiaj połowa naszych nowel i romansów to tylko waryanty jednego, grożącego stać się akademickim tematu: Pieśń o ziemi...

Ta chwila, w której *Kuryer warszawski* zarzucony dziękczynnemi listami czytelników „obstalował" u panny Rodziewiczównej drugie arcydzieło, była dla jej przyszłości fatalną — jednocześnie bowiem wszyscy współzawodnicy porobili u niej takie same zamówienia. I ujrzeliśmy naraz kilka egzemplarzy nieszczęśliwego chińczyka. Że go jednak odlewano na prędce, więc wypadła tandeta. Niektóre jej okazy są wprost skandaliczne (Kwiat lotosu) i godne co najwyżej kalendarza z sennikiem egipskim i żadną też miarą nie mogą zasługiwać na wzmiankę sprawozdawczą czy krytyczną. Inne zaś lichotą swoją bezdenną i pretensyonalną robiłyby wrażenie nieledwie wybryków chorobliwych zdolnego umysłu, gdyby złośliwa, a kto wie, może i prawdomówna fama nie postawiła innej, mniej lekarskiej dyagnozy: oto że p. Rodziewiczówna stawia w swoim majątku gorzelnię i potrzebując na ten cel 14,000 rubli, wyrabia powieści hurtem i gorączkowo. Nie wchodzę w to, czy tak naprawdę brzmiała rzekoma spowiedź panny Rodziewiczównej i czy wogóle nie zawiniła tu osławiona „przewrotność" ludzka — dosyć, że wszystkie pozory prawdy są. Być może, iż ziściwszy swoje marzenie, młodziutka laureatka, będzie tworzyć rzetelny nektar — to wszakże, co dziś ona pędzi, jest zwyczajną siwuchą.

W obronie smutnej pamięci *Onej* stanął nawet ktoś całkiem poważnie w jednym z tygodników, wychodzących nie w mieście. Szanowny apologeta oczywiście chciał sobie z niej zażartować i to go chyba natchnęło cudownym domysłem, iż autorka *pragnęła* pewnie na złość materyalizmowi, naturalizmowi i wszelkim innym „izmom" dzisiejszego piśmiennictwa odmalować ideał cnoty i anielskiego poświęcenia w Kostusi. Lecz, pytam, co może obchodzić ludzi przytomnych czyjeś tajone pragnienie, skoro przyobleczone w ciało, w formę powieści, wygląda szpetnie, ucieśnie i prowadzi wojnę na śmierć i życie z elementarnemi prawami logiki i zdrowego rozsądku? *Nad przepaścią* Emila Gaboriau stoi o całe niebo wyżej od *Onej*, a przecież zawsze w inwentarzu literackim stanowi tylko pajęczynę. Cała różnica, że odpadki sklepowe, nagromadzone w niej, są resztkami dosyć świeżemi, a nadto materyi ładnych, bo Rodziewiczówna umie zdobywać się na język prawdziwie ładny, ilekroć stanie oko w oko z przyrodą, polem, knieją, łąką lub rzeką.

Doprawdy, gdy sobie przypominam owych dwóch Sewerów, jednego — głośnego autora, a drugiego — Seladona-bohatera, występujących jednocześnie na dwu kolumnach *Kuryera warszawskiego*, to zdaje mi się, że widzę w zmniejszeniu podobiznę naszego bractwa wzajemnej i nieustającej adoracyi. Tu mierny komedyopisarz, wydęty w geniusza, plecie duby smalone p. t. *Do słońca* o jakichciś pociągach magnetycznych, tam, o szpaltę dalej, zidyociały bohater romansów zbójeckich, wydobyty z fantastycznego lochu, wlecze się „jak cień" — dla czego nie jak cielę? — za swoją eks-bogdanką.

Takich mamy pisarzów i takie fabuły.

Czyż zresztą może kto światełkiem krytycznem choćby musnąć tylko porcelanowego chińczyka, skoro jest on wabiem w rękach wszystkich? Ktoby mógł rzec słówko ostrzejsze o literatce, jakie pismo — skoro dla każdego z nich ona już napisała, pisze, albo pisać będzie?

Czy dzięki temu, że owa symboliczna gorzelnia jest już pod dachem może, i szczęśliwa jej właścicielka z głównych tarapatów wybrnęła, czy też, że ckliwo się samej zrobiło od wszelakich odgrzewanych, lecz mimo to stęchłych „romantyczniościów" jak mówi Słowacki — ale ostatnimi czasy rzuciła się znowu na wiecznie żyzną niwę „zacnej" i „szlachetnej" tendencyi. Płodem, na tym gruncie wyrosłym, są naprzód *Błękitni*.

Naiwnym byłby, ktoby sądził, że żywiołem, w którym się kąpią ludzie i sceny tej powieści — jest sfera prawdopodobieństwa. Panny Rodziewicz nie odstraszył bynajmniej smutny wypadek, jaki się zdarzył Ikarowi, i wzorem jego wciąż przylepia sobie woskiem skrzydła do ramion. Błękitni to pyszni książęta, władający setką kluczów, dziedzice olbrzymiej fortuny rodowej; nie odstąpili oni ani na jotę od tradycyjnych fumów i otaczają się blaskiem, ceremoniałem, kornością sług i urzędników, na podobieństwo dawnych magnatów Potockich i Radziwiłłów. Najstarsza między nimi, księżna matka siaduje na tronie, dzieci zbliżają się do niej jak do ołtarza; dokoła niej panuje gorsetowa sztywność, ludzie mają kłódki na ustach, lód w sercach a w głowach — pijane dymy kadzideł arystokratycznych.

Wskutek nieszczęśliwej śmierci starszego z synów — spadł jakoby z napół-dzikiego rumaka — ster domu i przedstawicielstwo dostają się do rąk młodszego. Jest to paryżanin, wyblakły i wypłowiały, kandydat na morfinistę, człowiek, w którym życie i używanie tak wypaliły wszelką treść wewnętrzną, że go trzyma na ziemi jedynie poczucie obowiązku rodzinnego i brak energii, potrzebnej do przerwania nudnych dni. Ten oto wyborowy okaz ostatecznego *spleenu* zostaje przez autorkę powołanym do rzucenia cudownego mostu między karmazynów i szlachtę uboższą, i za jego sprawą do pustych żył butnych panków wlewa się świeży i zdrowy potok krwi mniej błękitnej.

Zwykła rzeczywistość, której puls każdy z nas trzyma poniekąd w ręku, nie nastręczyła nam dotąd ani jednego jeszcze podobnego cudu; hrabiowie i baronowie raczą do niższych swych braci przechodzić tylko po moście złotym, jako zrujnowani łowcy dużych posagów, więc autorka dla zjednania sobie wiary czytelnika, wzięła do pomocy rozczochraną fantazyę i wplotła w wątek zadawniony spór graniczny ze szlachtą zagrodową. Ubarwiła go krwią, ubrała w pożary i mordy, w dzikie wybryki zemsty, przypominające egzekucye w Siczy, której świadkiem był Skrzetuski, albo potworne koncepty Kuklinowskiego z *Potopu*. Zakończyła go zaś prawnem okrucieństwem księcia Lwa, dzisiejszej głowy domu, płynącem nie tyle ze złego serca, ile z obrażonej nietarczywością wroga — buty. Wszakże widok starca bez duszy, w chałupie, zwalonej na mocy wyroku sądowego, tak silnie wstrząsnął książątkiem, nienawykłem do innych, prócz erotycznych, wzruszeń, że sprawia w nim przełom i — oto mamy jedną przyczynę głębszego zastanowienia się „błękitnego" nad sobą i światem.

Drugą jest pewna słabość, coś w rodzaju przyjaźni dla młodego rolnika z sąsiedztwa, z którego siostrą Lew bawił się w wczesnej swej wiośnie w sielankę. Promienie siły, dzielności i zdrowia moralnego, bijące z całej postaci jego, budzą w zmartwiałej istocie wytwornego gagatka przedsmak lepszego życia i zazdrość celu. Dąb krzepki łagodnie tuli do siebie bluszczową łodygę, tchnie w nią zapał, myśli obywatelskie i sprawia ożywienie swym wpływem, takiż spopielały prawie umysł „błękitnego" zaczyna tlić się, nawet płonąć i po prostu funkcyonować. Nieobecność reszty jaśnie oświeconych sprzyja mocno tej metamorfozie, która sięga aż tak głęboko, że rozżarzyła nawet iskierkę uczucia dla ideału lat młodzieńczych i oto pojednanie ze szlachtą przypieczętowane zostało związkiem krwi. Sami błękitni krok ten przyspieszyli cynicznem rzuceniem cienia na stosunek do młodej kobiety.

Czarowne baśni o królu zakochanym w pasterce i o królewnej, rozmiłowanej w pasterzu są i chyba po wszystkie wieki zostaną ulubionym motywem — pisarek. Dzisiaj rzeczywistość urąga trochę tym marzeniom, ale nie spłoszyła ich zupełnie. To daremne; można przecie nadać czułym romansom tło idei społecznej, kazać im grać rolę programu i — skala ominięta, a pobudka całkiem usprawiedliwiona! Tylko, że nasze i świata władczynie zapominają, iż takie powieści to zawsze bądźcobądź dedukcye artystyczne, które trzeba starannie uprawdopodobnić. Już to dziś takie znikczemniałe pokolenie, że bajki z tysiąca i jednej nocy nazywa niedelikatnie bajkami, cho-

ciaż Szeherezada była pono kobietką, o wiele ładniejszą od wszystkich poetek obu półkul. Nasz mózg lubi śliczne obrazy i widoki i gotów się niemi zachwycać i podrygiwać z radości, ale jeśli jednocześnie z nim skacze złośliwy chochlik niewiary i, klaszcząc w dłonie woła: Nieprawda! Nieprawda! — wtedy ową tak zwaną rozkosz estetyczną biorą djabli, a zostaje suche mędrkowanie, po które nie trzeba się udawać aż do literatury nadobnej.

Powieść lub poemat, pragnący wzruszyć nas fabułą *możliwą*, osiągnie swój efekt nieraz przy *minimum* prawdziwości swych postaci i scen; dosyć też, by jak u romantyków ocalały pozory ludzi, a zamierzone uczucie zbudzi się u nas, rozumie się — tem silniej, im ludzie będą mieli więcej krwi i kości; ale żeby uwieść nas i zapalić cudem, trzeba pokazać, że on cudem nie jest tj. zrobić nas świadkami, widzami wszystkich sprężyn i procesów, składających się na dany rezultat. I Quasimodo, i ojciec Madeleine, i nawet Mefistofeles, i Kain i wszyscy im podobni grają nam po duszy, bo wzięci pod światło zgadzają się ze wszystkiemi prawami psychologi i logiki i nikt nie wymaga, ażebyśmy patrzyli na nich jak na cuda spirytyzmu: w gęstym mroku, albo jak na produkcye magików — z odległości piętnastu łokci.

Orzeszkowa dziś już dobrze pojmuje ten pewnik i, żeby uczynić prawdopodobnym taki sam związek chemiczny dwu rodzajów krwi, związek nawet łatwiejszy w życiu do urzeczywistnienia, namozoliła się ogromnie. Setkami pobudek wewnętrznych i bodźców zewnętrznych i długim męczącym samorozwojem i dojrzewaniem uwarunkowała miłość szlachcianki pięknej i wykształconej dla rolnika schłopiałego, a i pomimo to jeszcze nie zdołała uśpić tego psotnika, co w naszej głowie woła: Nieprawda! nieprawda! Ale w *Nad Niemnem* po za sielanką jest świadoma epopeja à la Homer, która zapewni autorce nieśmiertelność, tam — złożono skarbiec zjawisk przyrody litewskiej i dusz litewskich, zwyczajów, podań, ideałów, typów, wierzeń, zajęć, pojęć, słowem tak jak w legendowym bursztynie zamknięto na zawsze, zaklęto i zabezpieczono żywą istotę, istny *mikrokosmos*.

A *Błękitni*? To trywialna parodya epopei nadniemeńskiej.

Cezary Jelenta.

Z MUZYKI.

Jest nadzieja, że dopóki nie przyjedzie na pijanym ośle bożek karnawału, ażeby zluzować wszystkich innych bawiących nas bogów — muza melodyi wytrwale świecić nam będzie. Tak muzykalnego, jak bieżący, sezonu, nie mieliśmy jeszcze nigdy, i z prawdziwą rozkoszą nieprzyjaciel wełnianych (na księżycu) wieczorków i tym podobnych żywiołów rozrywki może zaniechać dawnej swej żałosnej skargi: że u nas, w Warszawie, można wieczorem skonać z nudów. Codzień bowiem niemal mamy koncert i to nie byle jaki.

Zostawiając sprawozdawcom z zawodu ocenę wszelkich bigosów instrumentalno-wokalno-deklamacyjnych, podniesiemy występy poważniejsze, dające nam muzykę w stylu szerszym i mniej homeopotycznemi dozami.

Prawdziwie nowo-odkrytą gwiazdą był skandynawczyk Bernard Stavenhagen, uczeń Franciszka Liszta. Kto pragnął dla ucha pieszczoty tonów, ten mógł się na nim zawieść, a że wszyscy przywykliśmy żądać od muzyki melodyi, więc wszyscy prawie zawiedliśmy się potrosze, podziwiając nieprzytomne chwalby i pijane zachwyty, jakie poprzedziły jego udział w wieczorze Towarzystwa muzycznego. Gra jego sucha, nielitościwie sucha — tnie na frazesy, niby w deklamacyi odstające jeden od drugiego, wszelką melodyę i stale hołduje tempu przyśpieszonemu. Pewnie dzięki temu, sonata Liszta sprawiła wrażenie utworu bez żadnego wyrazu, a osławiona *Quasi una fantasia* Beethovena, w swej części drugiej kontrastującej tytanicznym porywem z przygnębioną elegią wstępu, postrzępiła cudowny motyw na gniewne okrzyki i nic więcej. Dosyć dziwnem było wobec tego, że Preludium Szopena wypadło pięknie, śpiewnie, głęboko i z uczuciem.

Artysta ten nie jest najwidoczniej upośledzony od natury na punkcie uczucia, lecz je po doktrynersku wypędza z muzyki. Tę rozmyślność, coś w rodzaju anti-sentymentalizmu, wyczuć można bardzo dobitnie. Natomiast siłę i biegłość posiada ogromną i tam gdzie może niemi szafować dowoli, gdzie ich kompozycya wymaga — Stavenhagen zdumiewał i porywał. To właśnie miało miejsce z Rapsodyą i Campanellą Liszta, których nikt inny może by z takim charakterem nie odtworzył. Prawdziwym majsterstykiem był jeden z najpiękniejszych na świecie poematów muzycznych: „Król Olch“ Schuberta. Wirtuoz traktował go całkiem odrębnie, rzecby można, iż naturalistycznie; zachowując tempo śpiesznego cwału konia, na tym efekcie, jako na tle, przeprowadził z ciszą i skupieniem, w tem samem tempie, czarodziejską, zwodniczą melodyę tajemniczego ducha. Była w jego grze groza i prawda niemal plastyczna.

Zupełne przeciwieństwo z nim tworzy Alfred Reisenauer, który zapełnił sam jeden cały wieczór w Resursie Obywatelskiej, i ma nas poczęstować drugim. Bohater zeszłorocznych owacyj mógł sobie na widok dosyć słabo wypełnionej sali powiedzieć: Łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Ale gdyby wiedział, co się u nas działo po jego dawniejszych koncertach, musiałby się uśmiechnąć ironicznie, boć cała ta zmiana gorąca na lodowy prawie chłód była dziełem wmówienia, suggestyi jednego krytyka. Kto jednak nie stanowi podatnego do hypnozy medjum, ten przyznać musi, że gry Reisenauera nie można bez popełnienia nonsensu zbyć sykaniem literackiem.

Co prawda też, nie wyobraża on indywidualności tak odrębnej, jak chcą inni. Przeciwnie, on właśnie obniża swą cenę pospolitemi efektami. Wciąż jeździ na gwałtownych kontrastach pianissima i fortissima, lubuje się w echach i ozdabia niemi nietylko tak nadającą się do tego przez swą czułostkową niemieckość „Ständchen“ Schuberta, ale nawet Nocturny Szopenowskie, które powinny by być całkowicie wolne od obcych domieszek, zwłaszcza takich, co są w repertuarze Reisenauera uniwersalnym sosem. Podobnież trudno lubować się bezustannie w efektach burzy, apoplektycznych finałach itp. Co jednak najważniejsza, artysta ten w rzeczach wymagających wdzięku, elegancyi i wytworności, jak w słynnem „Pastorale“ Scarlattiego lub lirykach Szopena zdobywa się tylko na powierzchowność, płytkość i pewną trywialność tonu.

Z tem wszystkiem jednak, tam gdzie nie chodzi o nadzwyczajną, nerwową subtelność, okazuje on iście fenomenalną siłę, cudowną miękkość prawej ręki, przedziwną śpiewność i niechybność rzutu akordowego. Mistrze naszego konserwatoryum, wielcy akademicką sztywnością zachowywali się na koncercie z ostentacyjną „nonszalancyą,“ która graniczyła z nieprzyzwoitością i narzekając, iż Reisenauer tylko „hałasuje“—sami hałasem swym przeszkadzali słuchać. Z jakiem olimpijskiem politowaniem szli oni do domu w połowie wieczoru!

Piątkowy koncert symfoniczny pod kierunkiem p. Rzebiczka, był jednym z najszczęśliwszych. Pomijając bowiem, że przypomniał słuchaczom śliczną „Glückfahrt“ Mendelsohna, ładną uwerturę Goldmarcka „Im Frühling“ i symfonię Schumana (B major), bardzo przyjemną i pełną świeżości, dał możność usłyszenia p. Barcewicza, który zanim z koncertem własnym wystąpi, tymczasem odegrał z ogromną siłą i czystością tonu, mniejszą co prawda z początku, najeżony misternemi trudnościami błyskotliwy koncert Joachima. Motywy hiszpańskie Sarassatego i węgierskie Nachsza z pod smyczka naszego skrzypka wyszły nieposzlakowanie pięknie, a „Abend lied“ Schumana wywołała słuszny zachwyt.

Barcewicz to *sui generis pendant* do Żółkowskiego. Znakomity, skromny i bojaźliwy. Nic przeciw temu nie mamy, że nie produkuje się za granicą, ale dla czego tak skąpy jest dla swoich?

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Ruch ku dołowi. — Niedawne wspomnienia. — Gra, w której Nencki jest atutem. — Jego błagalne prośby. — Nieładnie się bawimy. — Hr. Tarnowski prezesem Akademii umiejętności. — Instytucya galicyjsko-krakowska. — Załoga teatralna w *Tygodniku ilustrowanym*. — Pouczające zestawienie. — Nowi nabywcy książek. — Jedyna sfera. — Zagraniczni kontrolerzy naszej biedy. — Dobre serce Lucci i nasza dla niej wdzięczność. — Obowiązek chłopów, którzy jej nie słyszeli.

Zjeżdżamy na dół. Przed laty piętnastu, osiemnastu, kiedy rzeczywiście weszliśmy w okres rozbudzonego ruchu umysłowego i poszanowania dla nauki, ani *Kuryery* nie rozstrzygałyby, kto pierwszy zbadał istotę gruźlicy i wynalazł sposób tłumienia jej, ani magnetyzerowie nie orzekaliby w nich o wartości środka leczniczego, którego nie znają i z którym żadnych doświadczeń nie robili. Musi być źle, skoro akademicka *Gazeta lekarska*, która zwykła milczeć w kwestyach bieżących, nawet zakresem jej kompetencyi objętych, założyła energiczny protest. „Przyzwyczajeni jesteśmy do tego — powiada ona — że pisma brukowe lubią w sprawach naukowych głosić efektowne fałsze; ale tym razem uważamy za obowiązek zaprotestować“ przeciwko podnoszeniu w górę „rodaka“ Nenckiego i deptaniu przy tej sposobności niemca Kocha, zwłaszcza że ten rodak niemcom zawdzięcza swą sławę. Wszystko to jest słuszne, ale kto do *Kuryerów* wprowadził całą tę sprawę? Przedewszystkiem lekarze, którzy w korespondencyach z Berlina ciągle w nich rozprawiali o metodzie Kocha i o wynikach szczepień bez należytej ostrożności. Bo ileż to oni w słuchającą ich rzeszę rzucili zdań stanowczych i nieopatrznych, przesądzających w ostatniej instancyi to, co jeszcze pierwszej nie przeszło? Według mojego zdania tylko Bujwid, a później Heryng pojechali do Mahometa berlińskiego z celem jasnym, a wrócili z osiągniętym: przywieźli limfę, rozpoczęli ją szczepić w klinikach warszawskich, starannie obserwować jej działanie, słowem, sprawdzać naukowo nowy środek, o którym dopiero po dostatecznym szeregu własnych i cudzych doświadczeń będą mogli powiedzieć, co świat w odkryciu Kocha zyskał. Wszelkie pesymizmy lub optymizmy z powietrza czerpane, wszelkie głosowania wyborców i deputatów opinii publicznej, wszelkie orzeczenia biegłych z ulicy, wszelkie logiczne i nielogiczne gadaniny kumów i kumosz są śmiesznym, dziecinnym i bezmyślnym gwarem wobec poważnego i ścisłego badania naukowego, w którem wątpliwości rozstrzygać może tylko specyalna wiedza i sumienna eksperymentacya, a nie ruszanie językiem na jedną lub drugą stronę. Ogół jest zbyt zainteresowany w tak ważnej sprawie swego zdrowia, jak choroby gruźlicze, ażeby nie miał dowiadywać się o ka-

żdym nowowynalezionym przeciw nim środku, o każdym postępie nauki medycznej; więc owszem, pouczajmy go, nie zasłaniajmy mu oczu i nie zatykajmy uszu, ale nie mąćmy umysłów paplaniną o przedmiotach, o których nie mamy dokładnego wyobrażenia. Nie zapominajmy, że w Kochach, Nenckich itd. spoczywa geniusz, praca, wiedza, sumienność, z któremi nie można się tak obchodzić, jak ze zdolnością przystrajania kapeluszów lub wyrabiania mydeł. Ich badania i odkrycia nie są ani zrozumiałem dla każdego rzemiosłem, ani szarlataneryą, obliczoną na łatwowierność. Mamy przed sobą majestat ludzki, który trzeba uczcić. Ten Nencki, którego koniecznie chcemy uczynić tuzem wobec niemieckiego waleta Kocha, doznaje oczywistej przykrości, widząc, jak prasa brukowa w jego rodzinnym kraju rozgrywa sobie partyę kiksa kartami, na których oznaczone są: enzymy, peptony, toksalbuminy, laseczniki itd. Daremnie jednak błaga, ażeby zaprzestano tej zabawki i nie mieszano go do niej nawet z godnością wysokiej figury. A przecież należy go usłuchać, bo on i jego współpracownik Sahli nie są Kuźnickim i Szmittem, a Koch i Brieger, który jakoby miał im wykraść tajemnicę — Wyroskiewiczem i Pawlakiem.

Z Krakowa nadeszła wiadomość prawdziwie krakowska: Majer zrzekł się prezesostwa w Akademii umiejętności, a na jego miejsce obrany został... St. hr. Tarnowski. Komendantowi stańczyków nie zaprzeczamy ani uzdolnień, ani pewnych tytułów do znaczenia literackiego; ale jeżeli w dziedzinie piśmiennictwa jest człowiek nieodpowiedni dla tego stanowiska, to przedewszystkiem p. Tarnowski. Akademia umiejętności ma być instytucyą naukową, niezależną od wszelkich stronnictw i walk polityczno-społecznych, od zatargów dnia i dążeń partyjnych, tymczasem nowy jej prezes jest naczelnikiem stronnictwa wojującego, ściśle galicyjskiego, poddającego wszelkie inne względy rachubom praktycznym i najczęściej gwałcącym naukę dla polityki. Żaden żywioł, żadna partya nie odmawia jawniej i zuchwałej wiedzy praw do niezawisłości, niż stańczycy, bądź w imię interesów władzy, bądź w imię interesów Kościoła. Opanowali oni Akademię już dawniej, a wysunięcie jednego z nich na najwyższe jej stanowisko nie zmienia ducha tego ciała; ale obdarzenie najwyższą godnością członka najskrajniejszego świadczy o lekceważeniu nawet formy, nawet pozorów bezstronności. I Majer bardziej przechylał się ku prawicy, niż ku lewicy, ale w każdym razie nie był to sekciarz, fanatyk, dowódca wiecznie bojującej wyprawy krzyżowej, więc on mógł być wyobrazicielem różnorodnych kierunków myślenia i działania. Pojmujemy to, że skoro każdy człowiek należy do jakiejś chorągwi, trzeba na przewodników powoływać ludzi z tego lub innego obozu. Ale jeżeli żaden parlament nie powierza swego steru takim, którzy złożyli dowody zapalczywej i nietolerancyjnej wyłączności, to Akademia, nie będąc areną walki stronnictw, ale przybytkiem równouprawniającym wszelkie kierunki naukowe, powinna o to dbać jeszcze więcej. Nie podnosilibyśmy tej sprawy wcale, gdyby krakowska zebrała sobie garnitur członków z Krakowa lub Galicyi, gdzie stańczykostwo ma przewagę. Ona wszakże rozszerzyła swoje ramy znacznie dalej, zgarnęła do nich grono (chociaż oględnie) ludzi z innych dzielnic, którzy barw stańczykowskich nie noszą i ani za swego przewodnika, ani za powagę naukową p. Tarnowskiego nie uznają. A może Akademia krakowska chce być istotnie krakowską lub galicyjską, w takim razie niech to objawi wyraźnie, a wtedy nie będziemy się wtrącali do wyboru jej prezesów, jak nie wtrącamy się do wyborów gwardyanów i przeorów.

Prasy drukarskie, zmęczone odbijaniem podobizn aktorów i aktorek w naszych pismach, musiały wykonać nowy i największy tego rodzaju trud. *Tygodnik ilustrowany* bowiem z powodu restauracyi Teatru Wielkiego przedstawił nam całą jego załogę, począwszy od znakomitych artystów, a skończywszy na balecie i woźnych. Jest to chyba najdalej posunięta pobożność dla tej świątyni. Ukazano nam bowiem (i potomności) istoty, o których dotąd wiedzieli tylko krewni, znajomi i administracya teatralna. Natomiast pominięto tych, którzy powinni byli znaleźć się na pierwszym planie i którzy głównie podtrzymują instytucyę — autorów scenicznych. Pod tym względem kurtyna postąpiła sprawiedliwiej, niż *Tygodnik*. Gdyby przynajmniej spisano nazwiska dramaturgów i komedyopisarzów, których sztuki grane były w naszych teatrach wraz z cyframi przedstawień komedyj. Wykaz taki nauczyłby nas wiele: dowiedzielibyśmy się z niego, jaka literatura dostarczyła nam najwięcej utworów, w jakim stosunku nasza pozostawała do obcych, jakie rodzaje twórczości najbardziej odpowiadały naszym upodobaniom, jacy pisarze polscy i w jakim stopniu przyczynili się do rozwoju teatru i najchętniej ich słuchano. Byłoby to zestawienie tak pouczające, że warto je podjąć niezależnie od *Tygodnika* lub w związku z nim. Odzwierciedliłoby ono jedną dziedzinę naszego życia duchowego i powiedziało nam więcej o naszej pracy artystycznej, gustach i ich kierunkach, niż wizerunek baletnika lub kasyera.

Nareszcie *Kuryer warszawski* wynalazł ludzi, którzy kupują książki. Mają to być włościanie, którzy w dnie targowe nabywają dość licznie elementarze. Naturalnie nie ożywią oni naszego ruchu księgarskiego, którego zastój jest strasznym i niewątpliwie wywoła wkrótce bankructwa, ale w czasach ogólnego wstrętu do „drukowanej bibuły“ (tak obecnie nazywa się nasza literatura) dobrze, iż przynajmniej ci prostaczkowie ocalają jej istnienie. Podobno tu i owdzie chłopi spieszą, jeśli nie z ratunkiem, to ze współczuciem dla upadających dworów; kto wie, czy oni kiedyś jeszcze nie będą przybywali jako orszak żałobny na pogrzeb zmarłej redakcyi lub księgarni. Od „braci inteligentniejszej“ nawet tej posługi spodziewać się już nie można. Wyrozumowawszy, że literatura „jest jeszcze jedyną sferą, w której“ itd., postanowili ci szanowni obywatele trzymać się od niej z daleka i obojętnie patrzeć, jak ta „jedyna sfera“ kurczy się coraz bardziej. My tak zawsze: doszedłszy do wniosku, że trzeba popierać przemysł krajowy, nabywamy obcy; entuzyazmując się dla swego języka, rozmawiamy bardzo chętnie po francusku; narzekając na biedę, wyprawiamy kosztowne bale — itp. To też sądzę, że jeżeli nadejdą czasy, w których nie będziemy uważali literatury za „jedyną sferę,“ nie będziemy popierali przemysłu krajowego, nie będziemy kochali swojego języka i narzekali na biedę, zaczniemy postępować akurat odwrotnie i właściwie. Czy wtedy i chłopi przestaną kupować elementarze?.. E, nie, to są tacy dziwni ludzie, że według nich 2 razy 2 wypada 4, a nie — Hanibal, jak mówi Dickens.

Aż dwie niewierne istoty przyjechały z zagranicy sprawdzić naszą biedę i przekonały się, że narzekamy bardzo słusznie, skoro dla usłyszenia ich rozkupiliśmy wszystkie bilety po wysokich cenach. Naprzód grał nam Reisenauer, jak poprzednio — według jednych znakomicie i nieporównanie, według innych — partacko. Następnie śpiewała Lucca. Ta dama złożyła nam dowód szczególnej życzliwości. Ponieważ straciła już głos, przerywa występy publiczne i zamierza wyłącznie poświęcić się zawodowi nauczycielskiemu, więc przed wycofaniem się postanowiła nas uraczyć resztkami swego talentu. Nie zejdę z estrady — myślała ona zapewne — nie zaśpiewawszy jeszcze raz tym najdroższym mojemu sercu warszawiakom, o których zapominałam podczas młodości, ale których za to wynagrodzę teraz — czem moja chata bogata. Nie zadowoliwszy ich, nie miałabym spokojnego sumienia w starości, bo to naród cierpliwy, skromny i wyrozumiały, a przytem płaci, płaci za wszystko, co mu się poda. I oto pod wpływem tych pragnień i wzruszeń przyjechała do nas poczciwa Lucca z wielkiemi lukami w głosie, ale z całkowitą dla nadwiślan sympatyą. Przyjęliśmy też ją „burzą oklasków,“ uczuciami głębokiej wdzięczności, kieszeniami na jej cześć opróżnionemi. Co posiadaliśmy lub co mogliśmy pożyczyć, to ofiarowaliśmy za szlachetną pamięć. Po takim wysiłku niechże teraz nikt od nas nie wymaga, ażebyśmy kupowali książki lub prenumerowali pisma. Niech to czynią chłopi, którzy nie słuchali Lucci.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

„Jagnię“ chrześciańskie a „wilk“ semicki.—Źródło partactwa żydowskiego w rzemiośle. — Rada przyjacielska. — Figiel emigracyi. — Parcelacya jako jedna z przyczyn wychodźstwa ludowego. — Wstręt do niej chłopów w niektórych miejscowościach. — „Czerwony kogut,“ jako zbawca...

Jakiś ślusarz, wielce dbały o postępy przemysłu krajowego, wystąpił w *Gazecie radomskiej* z obroną szewctwa aryjsko-chrześciańskiego wobec semicko-mojżeszowego. Zapragnął im swoją latarką drobnomieszczańską rozproszyć mroki, pokrywające zagadkę obecnego zastoju szewckiego w kraju. I otworzył się nam pod jej promieniami — widok... Kozłem ofiarnym tego przesilenia są żydzi handlarze, którzy, widząc wielki zbyt obuwia w Rosyi, rzucili się na nowo odkryty „geszeft“ i „gwałtownym a nieuczciwym wyzyskiem“ zepsuli dobrą opinię, jaką tam przedtem cieszyło się polskie obuwie. Inaczej było przed dziesięciu laty, a inaczej jest dziś. Obecnie obroty majstrów zeszczuplały, bieda największe wyciska piętno na położeniu czeladzi, niedawno jeszcze tak wyrywanej sobie wzajemnie, dziś zaś zaledwie wyżyć mogącej ze skromnego zarobku, częstokroć zupełnie już niedostępnego. Tak w zastoju szewckim, jak i niemocy innych rzemiosł sprawcą jest „żyd-wyzyskiwacz,“ i tylko on. W drobnym przemyśle rozrósł się niepomiernie, „przemógł swoją próżniaczą naturę i wziął się za piłę, młot i hebel.“ „Mógłby mi kto uczynić zarzut, że odmawiam ludziom rehabilitacyi, że zwrot z drogi lichwy i szacherki na drogę pracy produkcyjnej jest pięknym objawem ze strony żydów i że objaw ten należy popierać najgorręcej.“ Ale nie boi się tego ślusarz-chrześcianin, bo taki zarzut spotkać go może tylko ze strony optymisty, śniącego o „skutecznej reformie i poprawie wyzyskiwaczy.“ On, rzemieślnik, na tę sprawę patrzy zupełnie inaczej. Byt narodów zdobywa się uprzednią ofiarą — „mozolną a długą pracą.“ „U nas w kraju prawie dotąd rolniczym, zanim doczekaliśmy się choćby dzisiejszego stanowiska przemysłu, ileż to trzeba było zmienić przekonań, zwalczyć uprzedzeń, nabyć wiadomości i przejść ciężkich prób.“ I kiedy to wszystko się stało, kiedy „boża czeladka“ zasiadała z ostrym apetytem do biesiadniczego stołu wymiany produktów pracy: „żyd-wyzyskiwacz przypatrywał się ostrożnie nowym dla siebie rzeczom i czekał cierpliwie, aż się rozwiną.“ Dziś już on uprawia tę samą niwę (wyzysku siły roboczej[—dodajmy) wraz z rzemieślnikiem-chrześcianinem. Mając jakiś talizman, którym otwiera serca różnych panów, członków komisyj odbiorczych itd., „zdobywa coraz szersze kręgi naszych stosunków i wypiera nas wszę-

dzie lub mści się obniżką cen za partackie wyroby!“ Przejmuje trwogą ślusarza myśl o dużym procencie żydów rzemieślników w Radomiu i Lublinie, a wszystko ze względu na przyszłość rzemieśników-chrześcian.

Wszystko tu w tym akcie oskarżenia przeciw najazdowi żydów na rzemiosło, tę produkcyjną gałąź działalności ekonomicznej — jest ciekawe, ale najciekawszem jest wyjaśnienie przyczyny tej łatwości współzawodnictwa, o które żydzi rzemieślnicy względem chrześcian są oskarżeni. Żyd-rzemieślnik pobija na rynku „katolika“ — fuszerką tanią. Czyniąc to, jest w najzupełniejszej zgodzie z własnem, jak też i tych spożywców położeniem ekonomicznem, którzy stanowią jego rynek. Stojąc na niższym o połowę od rzemieślnika chrześcianina poziomie potrzeb życiowych i łożąc na odnowę swej siły roboczej niezmiernie mało, wynosić musi na rynek stosowny równoważnik. Towar jego, o tyle tańszy, o ile cebula jest tańszą od funta wieprzowiny lub wołowiny spożywanej przez jego rywala, a materyał wysortowany od przedniego — spotyka się z biedakiem-spożywcą, który go pochłania. To przymierze dwóch nędz jest bodaj najgłówniejszem źródłem partactwa. Ale nie zbywa i na innem, które tkwi w małem uzdolnieniu fachowem rzemieślnika-żyda. „Terminu — powiada obrońca szewców polskich — właściwie nie przechodzi, ale od razu ze swym majstrem układa się o zapłatę za pomoc i w rezultacie nie ma pojęcia o elementarnych nawet podstawach racyonalnego prowadzenia rzemiosła. Po przyjściu do lat pewnych, chciałby za cenę jakichś ofiar nabyć fachowych wiadomości, ale z wielu *względów* nie mogąc w żadnym z warsztatów pracować, usposabia się na partacza-wyzyskiwacza!“

Nie będę wysnuwał z tego wszystkiego wniosku, który, nie wiem, czemu zamarł na ustach „poczciwego naszego“ ślusarza, co broni szewców. Bronił by on prawdopodobnie okrzykiem „precz z rzemiosłem semickiem! “Spytam tylko, kto, jeśliby się nie okazały inne przyczyny, jest prarodzicem fuszerki żydowskiej w rzemiośle: talizmany do otwierania serc syożywców oraz specyalnych komisyj i instytucyj poważnych, do których słabe niedołężne lecz uzdolnione jagnięta chrześciańskie straciły dostęp, czy też może owe „względy,“ niepozwalające terminatorom-żydziakom urabiać się na fachowców w warsztatach chrześciańskich? Usuńcie je, zaniechawszy drobno-mieszczańskich zawiści, a jeśli te ostatnie są wyższe od was, to przynajmniej dla opanowania dalszych rynków, które wam partacze wydzierają, zespólcie się, jeśli jeszcze możecie to zrobić, pomimo małości swojego ducha przedsiębierczego!..

Ruch wychodźczy zamorski, który od kilku miesięcy potężnie ogarnia lud polski, spłatał tęgiego figla pewnym teoryom społecznym niektórych naszych publicystów: doznały one dotkliwego ciosu z tej strony i albo się jeszcze chwieją w swych. podstawach, albo, jak owoc w zaraniu przez robaka podtoczony, opadają z drzewa myśli narodowej. Najbardziej na tem ucierpiała teorya o nierozerwalności związków naszego chłopa z ziemią, teorya, tak artystycznie ucieleśniona w Ślimaku z *Placówki*. Emigracyą brazylijską odznacza pewien rys, wobec którego wymarzona postać Ślimaka, nie wytrzymawszy ogniowej próby faktów, pierzchnąć musi i rozpłynąć się w nicości, jak mgła poranna przed słońcem. Rysem tym jest ta przykra okoliczność, że wirowi wychodźczemu dają się porywać nie tylko „golysze“ fabryczni i bezrolni (czeladź dworska), lecz także stateczni gospodarze, posiadacze zagonów. *Gazeta rolnicza* jest tak mocno zdziwiona tem niespodzianem zjawiskiem, że, zgłębiając je, mimochodem potknęła się o prawdę, za którą mocno jej jestem wdzięczny. „Jeśli ci, powiada, dla których świat najczęściej kończył się po za słupem granicznym powiatu, puszczają się w kraje nieznane, za góry, za morza, jeśli ci, którzy do niedawna za żadną cenę nie ustępowali kawałka zagona (?), marnują dziś wszystką posiadaną ziemię, to zaprawdę, muszą być po temu inne, ważniejsze przyczyny, nad gorączkę złota, która, o ile nie miała związku z polem, łąką, pastwiskiem i lasem, była zawsze i jest jeszcze dla chłopa naszego nieczepiającą się go chorobą.“ Nie, ani gorączka złota, ani podżeganie agentów, nie są sprawcami wychodźstwa. „Jak koń pełnego żłobu, tak chłop nasz zagrody ojcystej nie porzuci, gdy ona daje mu spokojny kawał chleba.“ A więc cóż w takim razie? „Ogólny upadek większej własności, nieurodzaje dwóch lat ostatnich i parcelacya“ — oto przyczyny złego, odkryte przez *Gazetę rolniczą*.

A możeście ciekawi, jak przynajmniej pierwsza (upadek wielkiej własności) i ostatnia (parcelacya) z tych przyczyn wyglądają zbliska? Macie. „Wegetujący „dwór“ zaprowadza możliwe oszczędności: redukuje do minimum czeladź i używane w gospodarstwie siły robocze. Wszelkie melioracye odkładają się na czasy lepsze, robi się tylko rzeczy niezbędne, na jaknajmniejszą skalę, jaknajoszczędniej. Wywóz drzewa z lasów, dający przez tyle lat znakomite zarobki, ustał prawie. W majątkach rozparcelowanych gorzej jeszcze: tam możność zarobkowania nie już zmniejszyła się, ale ustała w zupełności. Miejsce dworu, dającego stałe utrzymanie służbie i stałe zarobki potrzebującej ich ludności wiejskiej, zajęli tam nowonabywcy, którzy ani służby nie trzymają, ani podziennych robotników nie potrzebują.“ Autor, który te słowa mówi, miał sposobność na własne oczy oglądać zmiany, zaszłe w znanej sobie dobrze okolicy, po której przed niedawnym czasem przeszła parcelacya. Cztery obok siebie położone majątki rozbiła ona swoim klinem na kilkaset mizernych płós, na których powołała do życia kilkaset „ohydnych, bez ładu i składu skleconych bud“ — autor wzdraga się je nazwać chałupami. Zamożne niegdyś wsie, popadły w nędzę; las otrzymany za służebności uległ sprzedaży; niezałatwione służebności są nieustanną kością niezgody między dawnymi osadnikami a przybyszami, którzy zajęli miejsce dworu. Dla autora, z którego czerpiemy, nic w tem dziwnego: dwór, sproszkowany przez parcelacyę, wydawał rocznie na robociznę około 4,000 rs., a wywózką drzewa z lasu pozwalał zarabiać drugie tyle. Takich dworów ubyło tam aż cztery. To, co tu powiedziane, nastręcza autorowi wychodźstwo z Galicyi i, będąc ekonomiczną ilustracyą do słynnej sprawy wadowickiej, w warunkach galicyjskiego życia społecznego nabiera szczególnego znaczenia, traci zaś w znacznej mierze tę doniosłość dobrodziejstwa, które zdawałoby się na pozór wynikać z sąsiedztwa dworu z chatą.

Jakkolwiekbądź, nie ulega wątpliwości, iż między dobrobytem włościan a stanem gospodarstw folwarcznych zachodzi pewna łączność, że chyli się do upadku pierwszy, gdy upadają lub nawet wcale znikają — drugie. Ten związek przyczynowy wymagałby dokładniejszego zbadania, chociażby z góry już do pewnego stopnia można przypuścić, iż zależność ta najbardziej dotyczy małorolnej ludności, dla której szczupły zagon nie jest dostatecznem źródłem utrzymania i opłacenia podatków państwowych i gminnych. Włościanin, oddawna sąsiadujący z dworem, niechętnem okiem ściga parcelowników, przybywających z dalszych wsi. Korespondent *Gazety rolniczej* z nad Warty opowiada o postawie, jaką przyjęli chłopi na wieść, iż dziedzic sprzedaje „dwór.“ Zgłosiło się zaraz kilkunastu z sąsiednich wiosek, ofiarując częściowe kupno majątku (przy pomocy banku). Nadeszli i swoi i oświadczają, że na parcelacyą nie ma zgody, bo mają prawo służebności. Gdy dziedzic obiecał im, że za pastwiska i prawo do lasu dostaną grunty i kawał lasu, wysuwa się starszy z gromady i tak prawi:

— Proszę WPana, o pastwisko i las to się pogodzimy, ale nie chcemy, żeby W-ny Pan sprzedawał dziedzictwo, chcemy, żeby dwór był dworem, bo jak panowie zaczęli wyprzedawać, to ludziom, to żydom, to i na chłopów bieda. Kaj szukać na świecie zarobku: tu trza płacić podatki, kupić buty, przyodziewek, drzewo — a skąd wziąć pieniądze, kiedy człowiek nie zarobi w lecie kosą, zimą cepami? Gdzie pójdzie, nikaj zarobku, i po fabrykach jakoś ta licho idzie i po świecie wszędzie ludzie narzekają na biedę.

To samo o sobie mogą powiedzieć robotnicy (w liczbie 600) z fabryki Heinzla w Łodzi, po spaleniu się jej 26 listopada b. r. Wszystkie maszyny przygotowawcze, towar i przędza znajdująca się w warsztatach — spłonęły. W spalonej fabryce przy 510 warsztatach pracowało 600 ludzi. Z tej liczby prawie połowa będzie pozbawioną zajęcia, bo wątpić wypada, czy obietnica p. Heinzla, że ich zatrudni, może być przyjmowana za dobrą monetę. Te „czerwone koguciki“ zsyłane tajemniczą ręką na fabryki łódzkie dość peryodycznie i właśnie w najkłopotliwszej chwili zastoju przemysłowego, są prawdziwym darem nieba. Z tego podarunku muszą korzystać ci, którym na sprowadzeniu do minimum skali produkcyi wielce zależy. Z czystszem sumieniem można zatrzasnąć drzwi kantoru fabrycznego, mając na swoje usprawiedliwienie potęgę strasznego żywiołu. Środki samopomocy wobec niewygody nadprodukcyi z czasem doskonalą się, i dziś dzięki towarzystwom przeciwogniowym są celowszymi. W przeszłem stuleciu pierwotnym sposobem nadmiar usuwano wprost za pomocą ognia lub rzucano w wodę. Dziś „niewiadome przyczyny“ zsyłają „czerwonego koguta“, który połyka, czego rynek nie przełknął... P. Heinzlowi, mówiąc to, nie mam wcale zamiaru niegrzeczności robić.

Z. Atanazy.

UNIKAT LITERACKI.

IV.

Niejednokrotnie powiedziano Matejce, że ma krótki wzrok i że skutkiem tego postacie na jego płótnach zbyt się tłoczą — w uwadze tej jednak, nieraz bardzo ostro wyrażonej, nie dostrzegł on nigdy „pomyj“; powiedziano Meissonierowi, że jest mistrzem obrazków drobnych; w odpowiedzi na to nie oskarżył żadnego krytyka, że mu chce „odradzić“ malowanie większych obrazów, że go „dyskredytuje u publiczności“ i zniechęca nabywców. Inaczej zachował się wobec podobnych zdań autor „tego fasonu,“ co p. Głowacki: on je uważa za obrazę, zniewagę, za „deptanie i łżenie,“ za psucie mu interesów na rynku wydawniczym. Bo jeżeli zaznaczyłem, że on „dusi się rozrzedzonem powietrzem abstrakcyi,“ to nie znaczy, że jego wyobraźnia niema tak górnego lotu, jak np. fantazya Krasińskiego, Goethego lub Shelleya, ale że jest „chorym na umysł,“ „waryatem“; jeżeli przyznałem mu mistrzostwo w utworach drobnych, to nie znaczy, że taka jest natura jego talentu, ale że „odradzam mu pisanie większych powieści“ i ograniczam jego możność zarobkowania; jeżeli mówię, że tworzył *Lalkę* równolegle z drukiem, kawałkami, to nie znaczy, że tak chciał lub musiał, ale że go „dyskredytuję u wydawców.“ Matką tych wniosków jest „logika,“ którą p. Gł. tak gorliwie od chłopięcych lat uprawiał, a piastunką — mania prześladowcza, która mu moje mniemane zamachy odpierać każe. Bo gdy Chmielowski w *Atenenm* powiedział, że czytelnicy *Kuryera*, zniecierpliwieni długiemi przerwami w druku „Lalki,“ pisanej

częściowo, „szturmowali do redakcyi," że powieść ta „w kompozycyi jest chyba najsłabsza," że główny bohater jest dziwną mieszaniną pierwiastków sprzecznych, że wyjątki z pamiętnika Rzeckiego wstawiane są luźnie, że „w „Lalce," tak jak w wielu fejletonach jego razi zbyt częste odwoływanie się w porównaniach i określeniach do stosunków płciowych" — autor nie obnażył swoich „ran" przed narodem, a nawet nie zdradził tajemnicy swego 80 arkuszowego rękopisu o twórczości literackiej, który zabrania powątpiewać o doskonałości jego planów powieściowych. Dopiero moje, daleko łagodniejsze uwagi wprawiły go w taką furyę, że dla dogodzenia jej nie poprzestał na ordynarnych wykrzykach, lecz musiał aż wpaść na zagon mojej pracy literackiej i zdeptać go od brzegu do brzegu. Bo jeżeli przerywał druk swej powieści na kilka miesięcy, jeżeli „czytelnicy szturmowali do redakcyi," a ona uspakajała ich w odpowiedziach i zapewniała, że również szturmuje do autora; jeżeli w osnowie dostrzegłem sprzeczność lub wątki sztucznie dowiązane, nie powinienem był zdradzić ani przed „wydawcami," którzy rękopis odbierali częściowo i nieraz w znacznych odstępach czasu, ani przed publicznością, która na to wszystko patrzała, że p. Gł. swoją *Lalkę* „jednocześnie tworzył i drukował." Nie powinienem był, zwłaszcza że w dowodach popełniłem ni mniej ni więcej tylko „rozmyślny fałsz." Bo zaznaczyłem, że Prus raz przedstawia Wokulskiego jako co święto maszerującego z żoną do kościoła, a gdy *później* potrzebował uczynić swego bohatera twardszym, kazał mu być tylko dwa razy w kościele. Za to *później* p. Gł. zdarłszy z mojej głowy skalp i potrząsając nim dumnie, woła: „rozmyślny fałsz. O tem, że Wokulski często chodził do kościoła z żoną mówi Rzecki w II tomie!" A zatem nie wcześniej. Aż mi przykro, że muszę zmniejszyć tak wspaniały tryumf „tego pana" objaśnieniem, czytelnika, iż autor w I-m tomie mówi o *późniejszym* okresie życia bohatera, a w II-m — o wcześniejszym, że zatem owo *później* odnosi się nie do tomów, ale do tych okresów. P. Gł. bardzo dobrze to rozumiał, ale mógł ryzykować, że czytelnicy jego wymysłów nie dostrzegą, w czyim właściwie kubełku są „pomyje." Na wypadek zaś gdyby pomyśleli, że czy Wokulski tak mówił wcześniej, a tak później, mówił sprzecznie, autor uprzedza ich: „był wzburzony, rozmarzony" — zapomniał.

Na wszystko znajdzie się sposób — trzeba tylko mieć odwagę go użyć. P. Gł. zaś nie jest bynajmniej wybrednym, w braku lepszego środka bierze—cudzysłów. Już poprzednio zaznaczyłem jego ciekawą metodę posługiwania się tym znakiem pisarskim, który mu służy nie, jak zwykłym śmiertelnikom, dla *cudzych słów*, ale dla jego własnych, które chce przeciwnikowi podsunąć. Oto pisze: „Jakkolwiek byłbym „nieobyczajnym" to przecież oskarżycielem moim nie powinien być p. S., który jako krytyk na 404 str. *gromi* mnie za to „o czem kobiety lubią słuchać ze spuszczonemi oczami," a jako Poseł Prawdy na str. 405 *rozprawia* z Dumasem o następującej subtelnej kwestyi: „*Czy kobieta może lub nie może być zgwałconą, jeżeli nie zechce.*" Nie będąc kompetentnym, *kto ma racyę*: Dumas, czy Poseł Prawdy itd." Wynika stąd, że: 1) pana Gł. „gromię" i nazywam go „nieobyczajnym"; 2) „rozprawiam" z Dumasem o kwestyi gwałcenia, w której wyrażam swoje własne zdanie. Wszakże tak? Otóż 1) nigdzie p. Gł. nie nazwałem „nieobyczajnym" i na owej 404 str. nietylko go nie „gromię," ale usprawiedliwiam. Przyznawszy bowiem — co przyzna każdy — że niejedna matka znalazłaby się wobec córki w kłopocie przy czytaniu jego swawolnych żartów, dodaję: „Te tłuste *Jovialitates* lub *Fraszki* Prusa są po części odbiciem realistycznej natury jego talentu, ale także wynikiem ciasnoty obrębu, w którym mógł się obracać jego humor. Zakres ten, z innych powodów mały, był nadto jeszcze ograniczony stanowiskiem pisma brukowego i pocztynego." W dalszem rozwinięciu tej myśli niema ani słowa nagany, ale raczej obrona. 2) Na str. 405 *Prawdy* nie tylko nie ma zdania, które p. Gł. podał w cudzysłowie jako temat sporu, ale nawet wcale tam nie „rozprawiam" z Dumasem w tej „kwestyi," nie wyrażam o niej żadnego własnego sądu, przytaczam tylko jego przedmowę do książki Riveta, objawiając znany czytelnikom może od lat wielu wstręt do tego rodzaju dysput. Więc jakże nazwać tę metodę polemiczną p. Gł.? Zaglądam do jego słowniczka „przyzwoitości" i znajduję jedynie: „rozmyślny fałsz." Ale na co ta manipulacya z cudzysłowami była autorowi potrzebną, kiedy przy niej powiada: „Istotnie wspominam o rozmaitych punktach kwestyi kobiecej, naprzód dlatego, że *sam je lubię*, a powtóre, że jest to *najłatwiejsza przynęta* na czytelników obojej płci?" Tego objaśnić nie umiem, tylko wyobrażam sobie ile to „kubłów" znalazłby on pod ręką, gdyby zauważył, że on to „lubi" i że tego środka używa jako „najłatwiejszej przynęty."

Po obejrzeniu „rozmyślnego fałszu," zobaczmy teraz, jak wygląda „arcydzieło oszczerstwa czy lekkomyślności." W moim artykule o p. Głowackim znajduje się taki ustęp: „Z tych różnorodnych zabarwień wytworzyła się w umyśle Prusa i trwa dotąd pewna pstrokacizna, pewien eklektyzm, pewna mieszanina znamion sprzecznych, którą on sam czasem dostrzega, a raz wybornie określił.

— Proszę pana — zapytała go znajoma — do jakiej pan należy partyi?

— Jako człowiek do żadnej, a jako dziennikarz do...

— Do postępowej?

— To jest... niezupełnie.

— Więc do konserwatywnej?

— Właściwie... cokolwiek.

— Może do klerykalnej?

— O! to bardzo mało, prawie nic.

— Więc do wolnomyślnej?

— Tak... troszeczkę... odrobinę...

— Ależ ostatecznie do jakiej? — wykrzyknęła moja towarzyszka, szeroko otwierając oczy, piękne jak dwa jeziora Czterech Kantonów.

— Widzi pani, *my*, dziennikarze, należymy właściwie do partyi konserwatywno postępowo-klerykalno-wolnomyślno-arystokratyczno-demokratycznej."

Przytoczywszy to, p. Gł. w swojej odpowiedzi daje takie:

„Małe *objaśnienie*: 1) *Z nikim* bez względu na jego płeć i kolor oczu nie lubię rozmawiać ani o „moich dziełach," ani o „moich przekonaniach" (co wyrażają te cudzysłowy, nie wiem). 2) Termin: członek partyi konserwatywno-postępowo-klerykalno-ateistyczno — itd. ja sam wynalazłem i po wiele razy używałem go w „Kronikach tygodniowych" na oznaczenie ludzi, *którzy nie wiedzą, czego chcą*. 3) *Jeżeli* więc rozmawiałem w ten sposób, *jak mówi p. S.*, z damą o „oczyma jak dwa jeziora," to oczywiście dopuściłem się żartu, za co ją obecnie przepraszam. Pominąwszy jednak te drobiazgi, p. S. nie potrzebował *uciekać się aż do interwencyi dam* w celu dowiedzenia się o moich przekonaniach" itd.

A zatem: 1) p. Gł. nie rozmawiał z nikim w ten sposób lub co najwyżej żartował; 2) ową złożoną nazwę stosował w „Kronikach" tylko do „ludzi, którzy nie wiedzą, czego chcą"; 3) ja zaś „dla dowiedzenia się o jego przekonaniach uciekłem się aż do interwencyi dam" i wynalazłem jedną, która według mnie ma „oczy jak dwa jeziora" i która dostarczyła mi materyału do „arcydzieła oszczerstwa czy lekkomyślności."

A teraz wobec tych obelżywych twierdzeń powiedzcie, jak mam ochrzcić napaść p. Głowackiego, jeżeli *cały powyższy, petitem wydrukowany ustęp, jest dosłownie przepisanym wyjątkiem z niedawnej stosunkowo jego Kroniki*, w której on sam podaje rozmowę z damą i sam sobie przyczepia potrzebny tytuł? Jestże to „arcydzieło oszczerstwa czy lekkomyślności"? Mnie się zdaje, że nawet słownik wyrazów „przyzwoitych" p. G. dla określenia tej sztuczki polemicznej jest niewystarczający. Nie będę go dopełniał, zauważę tylko, że albo p. G. pamiętał, co napisał i wtedy zarzut jego jest najwyższym stopniem ujemnej śmiałości, albo nie pamiętał, a w takim razie dowiódł, że z tą samą bezmyślnością wyrabia swoje kroniki, z jaką rzuca orkarżenia.

Prawda nie należy wyłącznie do mnie, lecz także do swych abonentów. Nie mogę przeto zbyt wiele zabierać w niej miejsca na prostowanie fałszów i odpieranie napaści p. Głowackiego. Dotknąłem tylko punktów najważniejszych. Pomijam cały szereg innych, drobniejszych, cały legion śmiesznych przekorności i dziecinnych skarg — jakobym *kwalifikował* p. Gł. do wymiatania rynsztoków i czyszczenia podwórek," kiedy twierdziłem, iż on to czynił, bo „pismo brukowe *musiało naginać* swego fejletonistę do zajmowania się sprawami najdrobniejszej wagi," jakobym go mianował „odstępcą," kiedy dowodziłem, iż oprócz króciutkiego okresu we wczesnej młodości był albo konserwatystą, albo eklektykiem; jakobym „przybierał wobec niego ton nauczyciela przemawiającego do żaka," kiedy ustawicznie wskazywałem w jego utworach znamiona mistrzowstwa i genialności—itd. Przytoczone dowody wystarczą na to, że: 1) krytyka moja nie była „stekiem fałszów, insynuacyi i obelg," „poniżaniem," „zniesławianiem," „deptaniem," piętnowaniem," lecz wyrazem wielkiego uznania i sympatyi, szczerym sądem, pozbawionym nawet ukrytego zamiaru napominającej lub karcącej nagany, oraz 2) że odpowiedź p. Gł. jest brutalną napaścią i bezzasadnym odwetem, w którym przewijają się nici bądź manii wielkości i prześladowczej, bądź zwyczajnej nieprawdy. Bez tych dwu manij zagadka psychologiczna, tkwiąca w nasiąkłym złością artykule p. Gł., rozwiązać się nie da. W każdym razie artykuł ten stanowi unikat w dziejach piśmiennictwa. Żaden autor dotychczas nie przemawiał o sobie tonem takiej wyniosłości, żaden do tego stopnia nie uważał siebie za sprawiedliwego sędziego swych utworów, żaden nie odbierał taką pianą krytykowi, który w nim uznał mistrza i luminarza literatury. Gdybyście stanęli przed jakimś domem i zaczęli wysławiać jego piękność, wskazawszy kilka zaledwie stron słabszych, i gdyby z tego domu wypadł z hałasem jego budowniczy, obrzucił was obelgami, wypomniał wam najrozmaitsze winy i zagroził procesem, doznalibyście takiego wrażenia, jakiego ja doświadczyłem po mojej krytyce, przeczytawszy odpowiedź p. Głowackiego. Więcej powiem, „ten pan" spadł na mnie z bezmyślnością dachówki, która zlatując nie wie, kogo i za co rani. Gdyby ktoś z litanii do wszystkich świętych wyczytał spis osądzonych przestępców, nie dokonałby większego dziwu, niż on, wydobywszy z mojej rozprawki „insynuacye i obelg." Jeżeli to są obelgi, to niema przyzwoitego języka w sprawozdaniach literackich; jeżeli moje uwagi były „zniesławieniem i poniżeniem," to nie ma krytyki. Posiadam jednak pewną podstawę do twierdzenia, że autorowie co najmniej równi, a może wyżsi od p. Gł., czuliby dla mnie wdzięczność, wyraźnie: *wdzięczność* za takie o nich studyum. Cromwell powiedział raz do malarza: „Wymaluj mnie, jakim jestem, a nie usuń zmarszczek, bo nie zapłacę ani grosza." Tak mówią ludzie wielcy. Tymczasem p. Gł., który bywa melodramatycznym, gdy chodzi o niego, a szykanującym, gdy chodzi o przeciwnika, nie naśladuje Cromwella, ale raczej parafianina, który wymyśla fotografowi za to, że nie odtworzył blasku jego tombakowej spinki. Tą przez właściciela wysoko cenioną, a przez znawców ośmieszaną spinką jest jego o tyle mała, o ile pretensyonalna socyologiczno - statystyczno - ekonomiczna wiedza. Wolno p. Gł. uważać ją za główny klejnot swego umysłu, ale niechże pozwoli innym nie podzielać jego złudzeń

zwłaszcza że tych innych jest za wielu, ażeby ich można było objąć zarzutem „potwarców.“

Pisząc powyższą replikę, przy każdem jej słowie czułem, a wraz ze mną niewątpliwie i wy czytelnicy, jakim ten nasz światek literacki jest mizernym zaściankiem, kiedy w nim rodzą się tego rodzaju pretensye i tego rodzaju spory. Ale cóż począć, żyjąc w takiej atmosferze umysłowej? Kończę tę wstrętną rozprawę, o ile ona dotyczyła moich uwag o p. Gł. i jego napaści. Ale p. Gł. uznał, że daleko lepiej wyjaśni się jego stanowisko w literaturze, jeżeli zniesławi moją działalność i mój charakter. Krótki rachunek tego tytułu zrobię z nim osobno inną kredką: obliczę tam mój „egoizm“ i jego altruizm oraz jak mnie „płacono za robienie postępu,“ a jemu za „zamaskowaną agenturę młodej prasy“ i jawne „programy.“ Będzie to ciekawy przyczynek do historyi naszego rozwoju umysłowego.

A. Ś.

PRASA RUSKA.

Zabójstwo generała Seliwerstowa.

Głośne morderstwo, które tak mocno wstrząsnęło Paryż i drogą telegraficzną obwieszczone zostało całemu światu, szczegółowo opisuje *Warszawskij Dniewnik*. Ofiarą zabójstwa jest dymisyonowany generał-lejtenant Seliwerstow, właściciel olbrzymich dóbr ziemskich w guberniach: tulskiej, tambowskiej, saratowskiej i symbirskiej, oraz posiadacz fabryki sukna w powiecie korsuńskim i licznych zakładów przemysłowych. W r. 1878, przebiegłszy długi szereg rang wojskowych, mianowany był towarzyszem szefa żandarmów i głównego naczelnika byłego III-go wydziału własnej kancelaryi Cesarskiej, W tymże roku, po śmierci generała Mezencowa, zajął jego stanowisko i odznaczony za wzorową służbę orderem św. Włodzimierza 2-go stopnia, wziął dymisyę. Mordercą jest Stanisław Padlewski, w wieku lat 35. Oto jego rysopis fizyczno-moralny według *Dniewnika*: „Brunet, średniego wzrostu, nosi tylko wąsy. Jego owalna twarz jest bardzo blada, policzki zapadłe, wejrzenie posępne, oczy nieco błąkające się. Zdaje się mieć naturę bardzo podejrzliwą.“ Przyjechał do Francyi przed dwoma laty, a bieżącego roku odbył tajemną wycieczkę do Galicyi i Chorwacyi, skąd wrócił do Paryża dopiero we wrześniu. Padlewski ma być rodem z Królestwa (według innych źródeł, z Kijowa), ale od dzieciństwa przemieszkiwał w Austryi i kształcił się we Lwowie; jest podobno synem oficera artyleryi (Zygmunta Padlewskiego), który brał udział w powstaniu 1863 r. i był uśmiercony w Płocku. Przed dokonaniem zamachu na osobie generała Seliwerstowa, Padlewski przyjął był służbę posłańca w zakładzie „Salon franco-russe,“ utrzymywanym przez rosyanina, nazwiskiem Bernow. Pobierał u niego 2 franki dziennie, a w czwartki po 5 fr. Pierwsze wrażenie, jakie zrobił na Bernowie, było nieprzyjemne. Był to istotny obierwaniec, buty miał tak zdarte, że ledwie w nich mógł chodzić. Ponieważ jednak nic nie przemawiało za tem, żeby miał być socyalistą, przeto Bernow przyjął go na służbę. Spełniał ją jednak niepunktualnie: przepadał gdzieś po całych dniach.

Znajomość Bernowa z gen. Seliwestrowem datowała się od dnia 18 maja r. b. Stosunek swój do zabitego Bernow scharakteryzował przed reporterem *Intrasigeant* w następujących słowach: „Generał bardzo mnie polubił, stał się moim wiernym opiekunem, udzielił mi swego adresu, z którym się tail przed wszystkimi. Potem wrócił do Rosyi. Teraz przyjechał 30 października, tegoż dnia stawiłem się u niego. Byłem jedyną osobą, którą generał przyjmował u siebie...“

Generał Seliwerstow przybył do Paryża na jedenaście dni przed śmiercią i zatrzymał się w Hôtel de Bade nr. 88, na drugiem piętrze, w głębi podwórza. Apartament jego składał się z 5 pokojów. Gości zwykle wprowadzał jego wierny kamerdyner, Kof, finlandczyk, będący u niego w służbie od lat dziesięciu. Generał był bardzo ostrożny i zalecił słudze zamykać drzwi zawsze na klucz. Stosując się ściśle do wskazówek pana, Kof otwierał drzwi tylko, gdy dzwoniono, uchylał je ostrożnie i wpuszczał osoby tylko sobie znane.

Tak się rzeczy miały przed dokonaniem zamachu. Wobec tego przebieg samego morderstwa wydaje się nadzwyczaj dziwnym. W dzień śmierci gen. Seliwerstow wstał o 8-ej z rana. Po spacerze i śniadaniu, o godz. $11\frac{1}{2}$, kamerdyner zameldował, iż, jakiś nieznajomy żąda z generałem się widzieć, żeby mu do rąk własnych oddać list od Bernowa. Podejrzywając, czy nieznajomy sam sobie nie napisał tego listu ,lub może jest zwykłym posłańcem, generał kazał lokajowi wrócić do przedpokoju i dowiedzieć się. Ponieważ nieznajomy wydał się służącemu podejrzanym, zażądał od niego listu i sam go doręczył generałowi. W liście Bernow zapraszał generała na wieczór do „Salon franco-russe.“ Gdy kamerdyner wchodził z listem, generał znajdował się w sypialni. Dostrzegłszy znany sobie podpis, generał kazał wprowadzić nieznajomego, który się przedstawił jako Stanisław Padlewski. Wykonawszy polecenie, kamerdyner oddalił się i nie widział, kiedy wyszedł Padlewski. Sądząc, że jeszcze się nie oddalił i zdziwiony ciszą panującą w pokojach, lokaj w 25 minut potem odważył się wejść. Generał siedział na krześle u stołu, z piórem w ręku i wzrokiem utkwionym w liście. Z lewego policzka sączyła się krew, generał żył jeszcze, lecz ciężko oddychał i był zupełnie nieprzytomny. W pokoju nie było żadnego śladu walki, ani oręża — wystrzału nikt nie słyszał.

Padlewski zemknął, ale nie wiadomo, gdzie się obraca, zapewne znalazł ucieczkę w Anglii. W pierwszej chwili policya paryska przypuszczając, iż mógł się ukryć u swoich towarzyszów, dokonała w nocy rewizyi w mieszkaniach znanych socyalistów. Przetrząsnięto wszystkie czeluścia Avenue des Gobelins et de la Glacier, gniazdo rewolucyonistów ruskich, ale bez skutku. Aresztowi ulegli Mendelsohn z żoną. Z faktu, że w kieszeni gen. Seliwestrowa znaleziono 1,300 fr., a w biurku 40,000 gotówką, władze policyjnosądowe wnioskują, że morderca dopuścił się krwawego czynu nie dla rabunku.

KRONIKA.

Dla młodzieży.

Dzieci najwięcej zajmuje to, co same wykonać potrafią. Proste doświadczenia fizyczne, wyrabiające w nich zręczność, uwagę i budzące ciekawość, są doskonałym materyałem zajęć domowych dla młodzieży. Drut, sznurek, rurka szklana, karafka, łupiny orzechów odgrywają rolę przyrządów naukowych, wprowadzają młodego eksperymentatora w zetknięcie z życiem przyrody, każą mu dochodzić związków i przyczyn zjawisk. Takie zadanie spełnia świeżo wydana *Fizyka bez przyrządów* (z ilustracyami) S. Kramsztyka. Wszystkie doświadczenia — a jest ich 30— są bardzo zajmujące. Wymienimy niektóre: spadek ciał, koło odśrodkowe, motor hydrauliczny z łupin orzechowych, ciemnia optyczna bez szkieł, karafka wody jako soczewka wypukła itd. Objaśnienia zjawisk są bardzo przystępne. Oby ta książeczka mogła rozpowszechnić się, budząc wśród naszej dziatwy zamiłowanie do pięknej nauki fizyki.

Sprawy społeczne. Ogłoszono regulamin nowo zatwierdzonego Towarzystwa pomocy osobom przesiedlającym się w obrębie Cesarstwa. Instytucya posiada prawo urządzania przytułków i niesienia pomocy lekarskiej, budowy świątyń i zakładania szkółek w miejscach osiedlenia, w ogóle — niesienia pomocy rzeczowej i pieniężnej. Towarzystwo składa się z dwunastu członków-założycieli i nieokreślonej liczby czynnych, wybieranych przez walne zgromadzenie i wnoszących roczne rs. 10 wpisowego.

— Z dn. 4 b. m. na Pradze rozpoczęto wydawanie bezpłatnych obiadów dla biednych.

— Z Zakopanego donoszą, iż spór o Morskie Oko ukończono. Sądy węgierskie w pierwszej instancyi przysądziły sporne teorytoryum księciu Hohenlohe; obecnie sąd wyższy węgierski ten wyrok zniósł, a tem samem prawa własności polskich posiadaczy zostały uznane.

— Teatr łódzki urządza przedstawienia dla ludności roboczej, na które bilety znacznie są zniżone.

— Przy kontroli służbowej w Warszawie powstaje oddział pośrednictwa w najmie służby, opatrzonej dobremi świadectwami.

— W Odesie otwarto pierwszą w Cesarstwie bezpłatną czytelnię dla ludu.

— Główny zarząd niemieckiego Tow. wstrzemięźliwości wniósł do rady związkowej prośbę o energiczne zwalczanie pijaństwa.

— Sąd skazał kilku ryzkich doktorów na grzywny po 16 rs. lub 4-tygodniowy areszt za przybicie na drzwiach ich mieszkań tablic wyłącznie w języku niemieckim.

— W Rydze odbyły się narady celem urządzenia w tamtejszych prowincyach osad rolnych dla małoletnich przestępców.

— W Hanowerze założono nowe Towarzystwo polskie przeważnie z robotników fabrycznych.

— Dwa najdawniejsze i najpoważniejsze w Paryżu związki polskie: „Towarzystwo historyczno-literackie“ i instytucya wzajemnej pomocy p. n. „Czci i chleba.“ przestają istnieć jako ciała odrębne, zawieszają czynność i fundusze wraz z pozostałemi do wykonania zobowiązaniami przekazują zakładom krajowym, głównie Akademii umiejętności w Krakowie.

— Z Poznania piszą do *Nowosti* o poważnem zajściu na dworcu kolejowym między publicznością i policyą. Krewni i znajomi nowozaciężnych żołnierzy, znajdujących się w pociągu, chcieli podejść do wagonów, ażeby się pożegnać. Policya jęła rozpędzać publiczność, która jednomyślnie stawiła opór. Władza użyła broni. Wiele osób raniono i aresztowano.

— W ostatnich czasach rolnicy z Rosyi południowej sprowadzali z zagranicy robotników (z Galicyi, Persyi i Turcyi) do robót polnych. Ministeryum spraw wewnętrznych, przyszedłszy do przekonania, że w kraju nie daje się odczuwać brak rąk roboczych, ale raczej ich zbytek, postanowiło zabronić sprowadzania z zagranicy siły roboczej w całem państwie, z wyjątkiem tylko Zakaukazu, gdzie do robót polnych można będzie sprowadzać persów za oddzielnem w każdym razie pozwoleniem władzy naczelnej.

Szkoły. Kurator okręgu naukowego w Odesie wydał do nauczycieli gimnazyów i szkół realnych okólnik, w którym podniósł nieracyonalność pedagogiczną metod szablonowych przy powtarzaniu przedmiotów kursu gimnazyalnego i przy egzaminach. Panujący w szkołach pogląd na nauczenie jako na przygotowanie do popisów egzaminowych, zdaniem kuratora, powinien być wykorzeniony. „Nauczyciele powinni się starać o wyjaśnienia zasadnicze, o pogłębienie wiadomości, słowem powinni być pedagogami, nie zaś machinami do wysłuchiwania i egzaminowania.“

— Ministeryum oświaty opracowało projekt przekształcenia szkół w niemieckich koloniach na południu Rosyi. Podstawą reorganizacyi będzie wprowadzenie języka ruskiego jako wykładowego i zwiększenie ilości godzin poświęconych nauce tego języka, w klasie niższej do 10-ciu, w wyższej do 20-tu godz. tygodniowo.

— W Kostromie i Makarewie otwarte będą w r. p. szkoły techniczne.

— Rząd pruski oświadczył, iż nie będzie uznawał dyplomów uniwersytetu katolickiego w Fryburgu.

— Kilku dyrektorów gimnazyów zwróciło się do ministeryum oświaty z przedstawieniem konieczności dodania w kl. 8-ej przynajmniej 1-ej godziny na wykład matematyki. Podług bowiem nowych programów powiększono zakres kursu przez dodanie kilku ważnych twierdzeń arytmetycznych i algebraicznych, a jednocześnie zmniejszono liczbę godzin.

Zdrowie publiczne. Przy tegorocznej superrewizyi w Kijowie z 130 popisowych okazało się zdolnych do służby tylko 37. Większa część wybrakowanych rekrutów otrzymała zwłokę z powodu słabego rozwinięcia klatki piersiowej. W ogóle zauważono znaczny upadek rozwoju fizycznego śród klas mieszczańskich, muskulatura słaba nieledwie wszędzie.

— Wiedeń zakłada Muzeum hygieny przemysłu, mające na celu szerzenie zdrowotności śród robotników z pomocą reformy urządzeń fabrycznych.

— Nowoustanowiona dla Królestwa Polskiego opłata w sumie 250,000 rs. rocznie na rzecz utrzymania szpita-

lów dla obłąkanych, obowiązywać będzie od 1 stycznia 1891 r. Obecnie, przy odpowiednim podziale wysokości opłat na gubernie, wydano rozporządzenie, dotyczące przyjmowania i zbierania nowej opłaty.

Przemysł i handel. W celu poparcia przemysłu drobnego ministeryum marynarki zgodziło się na zamówienie 500 pudów gwoździ kutych dla okrętów; zaś specyalna komisya zażądała od ziemstw wiadomości, pod jakimi warunkami ziemstwa mogą przyjmować zamówienia dla rękodzielników bez pośrednictwa agentów.

— Połów łososi i dorszów na wybrzeżach pruskich jest tak obfity, jak dawno nie pamiętają najstarsi ludzie.

— Kapitaliści francuscy starają się o założenie w Cesarstwie fabryki prochu bezdymnego.

— Fabrykanci stali wnieśli petycyę do ministra skarbu o znaczne podwyższenie ceł ochronnych od wyrobów stalowych.

— Minister skarbu w razie nowych zarządzeń celnych ze strony Niemiec przeciwko zbożu ruskiemu zamierza otworzyć dla niego drogę odpływu do państw południowo-europejskich przez zawarcie traktatów specyalnych.

— W Petersburgu powstaje wielka udziałowa fabryka t. zw. „nowego złota.“

Sprawy kolejowe. Budowa pierwszych 700 wiorst kolei syberyjskiej rozpocznie się z wiosną r. p. Kierować robotami będzie zarząd czasowy kolei państwowych, którego prezesem jest generał inżenieryi Petrow, wice-prezesami Gorbunow i Peczkowskij.

— Ministeryum komunikacyi postanowiło zaprowadzić coroczne systematyczne rewizye inspektorskie wszystkich kolei.

— Pod przewodnictwem r. t. Jewreniowa utworzono specyalną komisyę, mającą roztrząsać kwalifikacye urzędników kolejowych w Królestwie i prowincyach zachodnich.

— Opalanie parowozów drzewem będzie wzbronione, natomiast ma być używany węgiel kamienny, nafta itd.

Zjazdy. W Petersburgu zapowiedziano pierwszy zjazd przedstawicieli i właścicieli przedsiębiorstw tramwajowych, w celu obmyślenia środków ochrony publiczności od nieszczęśliwych wypadków z powodu tramwajów. Warto ażeby przy tej sposobności pomyślano o polepszeniu bytu pracowników tramwajowych.

— Zjazd przedstawicieli Towarzystw ubezpieczeń rozpocznie się w końcu b. m. w Petersburgu.

— Zjazd przedstawicieli kolejowych rozpocznie obrady 27 b. m.

Wystawy. Komitet Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie od 1 b. m. przyjmuje deklaracye na przyjęcie udziału. Na wystawie tej po raz pierwszy będzie dopuszczony do konkursu przemysł rolny.

— Na rok przyszły zapowiedziano w Petersburgu wystawę chmielarską.

— Berlin pierwszy raz urządza w r. p. międzynarodową wystawę sztuk pięknych,

— Niemcy w r. p. urządzają w Londynie narodową wystawę niemiecką. Wezmą w niej udział także niemieckie prowincye państwa austryackiego.

Rolnictwo. Z powodu konwencyi Towarzystw asekuracyjnych, ustanawiającej znaczną podwyżkę premij ubezpieczeń od maszyn i narzędzi rolniczych, Towarzystwa gospodarcze w kraju południowym wystąpiły do władz z prośbą o zastosowanie energicznych środków przeciw tej zmowie, szkodliwej dla rolników.

— W celu utworzenia ministeryum rolnictwa postanowiono oddzielić departament rolnictwa i gospodarstwa wiejskiego od ministeryum dóbr państwa, tudzież przyłączyć do nowego ministeryum instytucye kierujące rolniczemi sprawami gospodarstwa i przemysłu wiejskiego, wreszcie z ministeryum skarbu przenieść do nowego sprawy wywozu zboża za granicę. Nowe ministeryum składać się będzie najwyżej z pięciu departamentów.

Konkursy. Rada zarządzająca kolei Wiedeńskiej ogłasza konkurs na budowę nowego dworca w Warszawie. Nagrody: 100, 200 i 3,000 rs. Projekty powinny być nadsyłane na ręce sekretarza głównego rady zarządzającej, najpóźniej do 20 maja r. 1891 do 12-ej w południe. Wyrok sądu wydany będzie najpóźniej 20 lipca r. 1891.

— Poznańskie Towarzystwo przyjaciół nauk ogłasza rezultat dwóch konkursów z zapisu Bredkowicza: Dr. Mikołaj Bobowski z Gołuchowa otrzymał 900 marek za rozprawę: „pieśń kościelna, używana po kościołach katolickich od najdawniejszych czasów do końca XVI wieku.“ Prof. Adam Bełcikowski z Krakowa otrzymał tyleż za rozprawę: „Żywot i pisma St. Grochowskiego.“

Sprawy literackie. Wydawnictwo petersburskiego tygodnika *Zapadno-Sławianskij Wiestnik*, który zajmował się specyalnie sprawami Królestwa Polskiego, zostało czasowo zawieszone z powodu braku poparcia.

— Pamiętnik Walter-Scotta ukazał się w druku. Zawiera on mnóstwo nieznanych dotąd szczegółów z życia tego pisarza i jego współczesnych.

Badania naukowe. Podróżnik Brown bada obecnie pod względem przyrodniczym i handlowym nieznaną południową część Australii: Musgrave Ranges.

— Francuz Chalet przedsięwziął wyprawę wgłąb Afryki, celem zbadania biegu rzeki Sanga, dopływu Kongo,

— Uczony etnograf Istomin znalazł w kraju Pieczorskim „gramoty“ Iwana Groźnego, tudzież zebrał tam kolekcyę starożytnych monet, upiększeń i posążków bóstw samojedów.

— Dr. G. Bukowski, poparty materyalnie przez wiedeńską Akademię umiejętności, prowadzi studya geologiczne w Azyi Mniejszej.

Zdemaskowanie. Jan Karłowicz zamieścił w piśmie francuskiem *Melusine* rozbiór prac niejakiego M. Veckestedta (autora *Die Mythen Sagen und Legenden der Zamaiten*). Przyzwyczajeni do gruntowności badaczów niemieckich po przeczytaniu krytyki Karłowicza doznajemy zdumienia, skąd się wziął taki pretensyonalny fałszerz i nieuk i skąd mu przyszła myśl uszczęśliwienia swojemi bredniami mitologii litewskiej.

Bibliografia. L. Kondratowicz, *Wybór poezyj*, wydanie na rzecz wdowy i sierot autora, tom IV i V.

— E. Orzeszkowa, *Jędza*, powieść str. 208, Gebethner i Wolff.

— H. Odyniec. *Swięto umarłych* (Wyjątek z niewydanej całości „Warszawa w pieśni“) str. 13, Warszawa.

Zmarli. Michał Stoltz, w Insbruku, rzeźbiarz tyrolski.

— August Scheler, profesor wszechnicy brukselskiej, znakomity bibliograf belgijski.

— John Leurs Brown, w Paryżu, malarz.

OFIARY.

Dla biednych S. A. rs. 20.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 30 Ноября 1890 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.